763/75
008(05) Reg. III Przemiany 1975

przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny Kielce styczeń 1975 Nr 1/52 Rok VI

W numerze: W. Grabka — 12 stycznia 1945 godz. 5.00 ◆ St. Rams — Waszmość komputer ◆ E. Watała — Kuźnia gwiazd ◆ J. Głażewski — Psi człowieka ◆ R. Marciniak — Recenzje

historia

12 stycznia 1945 godzina 5⁰⁰

Władysław Grabka

Rok 1945 narody świata powitały z realną nadzieją zakończenia pięcioletniej, najstraszniejszej w historii ludzkości wojny. Sytuacja militarna była jednoznaczna. Główny, radziecko-niemiecki front wojny w wyniku zdecydowanych operacji w lecie i jesienią 1944 roku został skrócony z 4.400 km do połowy i zatrzymał się na linii Tukums – Lipawa – Kłajpeda – Jurbarkas – Augustów – Warszawa – Sandomierz – Jasło – Koszyce – Esztergom – Zadar. Wojska radzieckie wyzwoliły – z wyjątkiem Kurlandii – republiki nadbałtyckie, Białoruś i Ukrainę, część Polski, Rumunię, Bułgarię, część Węgier i Jugosławii. Na zachodzie wojska alianckie doszły do linii „Zygfryda", wyzwolono większość Włoch. Ale na przełomie lat 1944–45 alianci przeżywali trudne chwile. Ofensywa gen. Rundsteda w Ardenach zagroziła wyraźnie koncepcjom taktycznym aliantów. Churchill i Roosevelt zwrócili się więc do Związku Radzieckiego o przyspieszenie ofensywy zimowej.

Przygotowania do niej na froncie wschodnim trwały od dawna. Armia niemiecka, mimo wielkich strat, nie była jeszcze rozbita. Wręcz odwrotnie — stanowiła nadal siłę militarną liczącą 7,5 mln ludzi, zorganizowanych w 299 dywizjach piechoty, 32 pancernych, 16 zmotoryzowanych. Większość tych sił zgromadzono właśnie na froncie wschodnim, gdzie działało 10 armii ogólnowojskowych, 4 armie pancerne i 3 floty powietrzne — łącznie 169 dywizji, w tym 22 pancerne, 9 zmotoryzowanych oraz 20 samodzielnych brygad. Ponadto przeciw wojskom radzieckim stanęły dwie armie węgierskie w składzie 16 dywizji. Hitlerowcy dysponowali więc 185 dywizjami i 21 brygadami liczącymi 3,1 mln ludzi. Do ich dyspozycji przydzielono 28,5 tys. dział, moździerzy kalibru ponad 75 mm, 3.950 czołgów i dział pancernych, 1.960 samolotów. Wojska pomocnicze liczyły dodatkowo ponad 2 mln ludzi, 2.700 dział, 5.390 czołgów oraz 3.270 samolotów. Silna flota niemiecka nadal paraliżowała ruchy okrętów alianckich na Bałtyku oraz wodach północnych.

Armia Radziecka wraz z wojskami krajów wyzwolonych przeciwstawiła siłom niemieckim 55 armii ogólnowojskowych, 6 armii pancernych, 13 lotniczych. Piechota liczyła 500 dywizji, z tym, że etatowy skład osobowy dywizji radzieckich był o 30 proc. mniejszy od dywizji niemieckich. Organizacyjnie licząca 2.200 kilometrów linia natarcia ze strony radzieckiej podzielona była na poszczególne fronty. I Front Ukraiński przygotowywał się do ataku na kierunku wrocławskim przez centrum Kielecczyzny. Punktem wyjściowym był przyczółek sandomierski. Ten front dokonał pierwszego uderzenia. Południowym sąsiadem I Ukraińskiego Frontu był II Front tej samej nazwy i — dalej na południe aż do Osjeku w Jugosławii, III i IV fronty ukraińskie. W ich skład wchodziły wojska czechosłowackie, rumuńskie, bułgarskie oraz jugosłowiańskie.

Tak z grubsza biorąc przedstawiała się sytuacja strategiczna na głównym froncie w tym stadium wojny.

Przygotowując natarcie wojska radzieckie zgromadziły olbrzymie środki techniczne uzbrojenia. Do dyspozycji frontów oddano 15.100 czołgów i dział pancernych, 15.815 samolotów, 35 pułków oraz 173 samodzielne bataliony samochodowe itp.

Główną uwagę przywiązywano do decydujących punktów uderzenia, przyczółków na Wiśle, koło Magnuszewa oraz Sandomierza. Wystarczy powiedzieć, że właśnie na przyczółek magnuszewski, liczący 240 kilometrów kwadratowych powierzchni, skierowano około 400 tysięcy ludzi, 8.700 dział i moździerzy i około 1.700 czołgów. Na jeden kilometr frontu przypadało tu 230—250 dział i moździerzy. Wojska liniowe otrzymały silne wsparcie jednostkami pomocniczymi, głównie saperskimi. I Front Ukraiński przygotowujący natarcie z przyczółka sandomierskiego do 10 stycznia otrzymał m.in. ponad 114 tys. ton amunicji, ponad 57 tys. ton materiałów pędnych ,prawie 48 tys. ton innych materiałów. Świadczy to nie tylko o ogromie wysiłku produkcyjnego i transportowego Kraju Rad, ale również o ogromie planowanych operacji, o wysiłku władz polskich na terenach wyzwolonych.

Zbliżała się godzina natarcia. Na skutek nalegań wojsk alianckich, którym było bardzo gorąco w Ardenach, dowództwo Armii Radzieckiej przyspieszyło dzień ofensywy. Miał ją rozpocząć I Front Ukraiński pod dowództwem marszałka Iwana Koniewa. Członkiem Rady Wojennej Frontu był generał lejtnant K. Krajszukow, a szefem sztabu — generał armii W. Sokołowski. Bezpośredni kierunek natarcia — Kielce — Radomsko — Wrocław. Przełamania obrony niemieckiej zamierzano dokonać na 39-kilometrowym odcinku między Stopnicą a Opatowem, siłami 13 i 52 armii oraz 5 armii gwardii, a także częścią sił 3 armii gwardii i 60 armii, które wzmocniono 25 i 31 korpusami pancernymi oraz 4 korpusem pancernym gwardii. Działająca na prawym skrzydle frontu 6 armia wraz z 3 armią miały zająć stanowiska obronne, oczekując na pościg i zniszczenie nieprzyjaciela w rejonie Ostrowca i Opatowa. 21 i 59 armie miały spotęgować uderzenie po przełamaniu frontu atakując bezpośrednio Radomsko i Kraków. 4 armia pancerna silnym uderzeniem miała przeciąć drogi łączące Kielce z Radomiem, by po połączeniu z wojskami I Frontu Białoruskiego operującymi z przyczółka magnuszewskiego uderzyć w kierunku na Łódź, zaś III armia pancerna gwardii działając z marszu miała uniemożliwić zorganizowanie przez wojska niemieckie obrony na Nidzie i Pilicy. Wyznaczono także
ki do uderzenia na Szydłowiec, oskrzydlenia od południa i zachodu zgrupowania wojsk niemieckich w rejonie między Kielcami i Radomiem. Podobnie szczegółowe zadania otrzymały także jednostki I Frontu Białoruskiego, którego południowe skrzydło wyzwoliło północne tereny Kielecczyzny.

Przeciw wojskom I Frontu Białoruskiego i I Frontu Ukraińskiego Niemcy wystawili siły grupy armii „A", którą dowodził generał pułkownik J. Harpe. 9 armia i 4 armia pancerna oraz większość sił 17 armii zgrupowania Harpego broniły frontu na południe od Warszawy. W rejonie przyczółka magnuszewskiego i sandomierskiego postawiono w odwodzie 40 i 24 korpusy pancerne — w sumie 30 dywizji i 2 brygady w tym, 4 dywizje pancerne i 2 zmotoryzowane. Łącznie wojska te liczyły 400 tysięcy ludzi, 4.103 działa i moździerze oraz 1.136 czołgów i dział pancernych. Ponadto na tyłach zgromadzono silne wojska pomocnicze zapewniające bezpieczeństwo zaplecza. Fronty białoruski i ukraiński dysponowały w tym czasie 163 dywizjami, 32.143 działami i moździerzami, 6.460 czołgami i działami pancernymi oraz 4.772 samolotami. Skład osobowy frontu przekraczał 2.200 tysięcy ludzi. Jak więc widać dowództwo radzieckie zdobyło tu wielokrotną przewagę nad przeciwnikiem, co dawało gwarancję szybkiego osiągnięcia zamierzonych celów taktycznych i strategicznych.

12 STYCZNIA 1945 r. o godzinie 5.00 z lasów między Staszowem a Szydłowem, na 39-kilometrowym odcinku frontu w tym rejonie ruszyły z marszu bataliony piechoty I Frontu Ukraińskiego, zniszczyły ubezpieczenia wojskowe przeciwnika i opanowały w niektórych punktach drugą linię okopów. Po chwilowym zaskoczeniu Niemcy przystąpili do zdecydowanej obrony. O godzinie 10, tysiące dział i „katiusz" obrzuciły pociskami obronę niemiecką, paraliżując ją. O godzinie 11.47 artyleria radziecka przeniosła ogień w głąb obrony niemieckiej, do ataku ruszyły czołgi i działa pancerne. Szczególne zdecydowanie wykazały związki 5 armii gwardii, 31 i 4 korpusy pancerne gwardii oraz żołnierze 63 brygady pancernej i 10 korpusu pancernego 4 armii pancernej. Brygadą tą dowodził płk M. Fomiczew. W ciągu trzech godzin żołnierze tej brygady przebyli w walce 20 kilometrów łamiąc niemiecką obronę. Hitlerowcy zaprzestali kontrataku i opuścili swe pozycje. Pod koniec 12 stycznia pas obrony 4 armii pancernej wojsk niemieckich wycofał się na odległość 15—20 kilometrów, zniszczono i rozbito kilka dywizji piechoty, Niemcy użyli swoich odwodów. W ciągu tego dnia wojska radzieckie zajęły 160 miejscowości, w tym — Szydłów i Stopnicę oraz przecięły szosę łączącą Chmielnik z Buskiem. Mimo trudnych warunków atmosferycznych lotnictwo radzieckie wykonało na tym odcinku 466 lotów bojowych.

13 STYCZNIA zgrupowanie uderzeniowe I Frontu Ukraińskiego podjęło manewr oskrzydlający Kielce od północy. Niemiecki 24 korpus pancerny będący dotychczas w odwodzie otrzymał rozkaz rozbicia nacierających wojsk i odrzucenia ich na pozycję wyjściową. Równocześnie część sił niemieckich przygotowywała uderzenie z rejonu Pińczowa w kierunku Chmielnika. Wszystkie te poczynania wobec zdecydowanego i zmasowanego uderzenia wojsk radzieckich spaliły na panewce.

4 armia pancerna pod dowództwem gen. płk D. Leluszenki współdziałająca z 13 armią gen. płk N. Puchowa kontynuowała natarcie docierając do Czarnej Nidy i forsując ją. 3 armia pancerna gwardii gen. płk P. Rybałki i 5 armia gwardii gen. płk A. Żadowa w ciągłym natarciu posunęły się o 20—25 kilometrów w przód zajmując m.in. Chmielnik, Busko, sforsowały Nidę w rejonie Chęcin na szerokości 25 km. Wykorzystując powodzenie tych związków 60 armia gen. płk P. Kuroczkina mogła skierować się w stronę Krakowa, co pozwoliło uratować to miasto przed zniszczeniem. Szczególnie bohatersko spisała się w tym dniu 2 armia lotnicza gen. Krasowskiego, która w 692 lotach bojowych zniszczyła szykujące się do kontrnatarcia odwody hitlerowskie między Kielcami a Pińczowem.

14 STYCZNIA wojska radzieckie przystąpiły do natarcia w kierunku Kielc odpierając kontrataki niemieckiego 24 korpusu pancernego. Po ich odparciu 13 armia generała Puchowa i 4 armia pancerna Leluszenki okrążyły zgrupowania przeciwnika w rejonie Morawicy, odrzuciły je za Nidę niszcząc przy tym 4 dywizje oraz kilka pojedynczych pułków i batalionów wojsk hitlerowskich. Marszałek Koniew, dowódca I Frontu Ukraińskiego w dniu tym rzucił do boju 59 armię, podporządkowując jej 4 korpus pancerny gwardii. Związki te rozwinęły natarcie w kierunku na Działoszyce, następnie główne siły uderzeniowe przełamały opór Niemców na Nidzie, przecięły linię kolejową i szosę łączącą Kielce z Krakowem, wyzwalając w sumie 350 miejscowości, w tym Pińczów i Jędrzejów.

15 STYCZNIA wojska 3 armii gwardii oraz 13 i 4 armii pancernej zlikwidowały obronę 24 niemieckiego korpusu pancernego, zakończyły likwidację okrążonych na południe od Czarnej Nidy oddziałów niemieckich i wyzwoliły Kielce. Wiele związków tych armii za zasługi w zdobywaniu naszego miasta otrzymało nazwy „kieleckie". Tego samego dnia w Moskwie na cześć oswobodzenia Kielc oddano salwę z 224 dział.

Po zdobyciu ważnego w systemie obrony niemieckiej punktu, jakim były Kielce, wojska I Frontu Ukraińskiego szybko posuwały się na zachód i w ciągu 4 dni osiągnęły rubież odległą od pozycji wyjściowej o 80 do 100 km, sforsowały Pilicę, przygotowały linię wyjściową do natarcia na Śląsk.

W tym samym czasie jednak w rejonie Opatowa i Ostrowca pozostały silne zgrupowania wojsk niemieckich zagrażając południowemu skrzydłu I Frontu Białoruskiego. Przystąpiono więc do szybkiego likwidowania zagrożenia i okrążania niemieckiego 42 korpusu piechoty działającego na północ od Sandomierza. Dowództwo niemieckie wydało rozkaz wycofania się wojskom niemieckim w rejon Skarżyska, a następnie do Końskich. 17 stycznia 42 korpus piechoty stracił łączność z wojskami niemieckimi, został rozbity, sztab wpadł w ręce wojsk radzieckich, a dowódca korpusu gen. H. Recknagel został wzięty do niewoli przez partyzantów AL. Dwa dni wcześniej rozbita została grupa bojowa 9 dywizji zmotoryzowanej oraz wiele innych dywizji niemieckich. Centrum i południowa część Kielecczyzny w cztery dni po rozpoczęciu natarcia przez związki taktyczne I Frontu Ukraińskiego została wyzwolona.

I FRONT BIAŁORUSKI rozpoczął natarcie z przyczółka magnuszewskiego i puławskiego rankiem 14 stycznia. Po 25-minutowej nawale ogniowej przeszły do natarcia oddziały piechoty i wojska pancerne. Pod koniec dnia oddziały nacierające z przyczółka pod Magnuszewem sforsowały Pilicę i wbiły się 12-kilometrowym klinem w głąb obrony niemieckiej.

Z przyczółka puławskiego ruszyła do ataku 9 armia, a głównie jej 11 korpus pancerny forsując z marszu rzekę Zwoleńkę, wyzwalając Zwoleń i przygotowując główne uderzenie na Radom. W dwudniowych walkach wojska I Frontu Białoruskiego zadały klęskę niemieckiemu 8 korpusowi piechoty oraz 56 i 40 korpusowi pancernemu, sforsowały Radomkę i 15 stycznia praktycznie na terenie Kielecczyzny nie było już zwartego, organicznie powiązanego i jednolicie dowodzonego frontu obrony niemieckiej.

16 STYCZNIA związki taktyczne 1 armii pancernej gwardii odparły kontrataki niemieckiego 40 korpusu pancernego, opanowały Nowe Miasto nad Pilicą i rozpoczęły szybki marsz w kierunku Łodzi. W ślad za nimi 69 armia gen. płk W. Kołupackiego z 11 korpusem pancernym zdobyły szturmem i wyzwoliły Radom, 33 armia gen. W. Cwietajewa podeszła do Szydłowca i wraz z wojskami prawego skrzydła I Frontu Ukraińskiego zlikwidowała niemiecki występ oporu w rejonie Opatowa i Ostrowca. Dowództwo niemieckie bezskutecznie próbowało gorączkowo zorganizować obronę na Pilicy, Bzurze i Rawce. Natarcie było nie do powstrzymania.

Operacje wojskowe na terenie Kielecczyzny miały decydujące znaczenie dla całokształtu założeń wielkiej ofensywy zimowej. Wyzwolenie Kielecczyzny zagroziło od południa zgrupowaniom niemieckim broniącym Warszawy, zaś od północy grupom mającym za cel obronę Krakowa, zagroziły bezpośrednio wojskom broniącym silnego ośrodka przemysłowego, jakim był Śląsk. Jak wiadomo 17 stycznia wojska radzieckie i wojska polskie o godz. 12 zakończyły wyzwalanie Warszawy, w dzień później wolny był także Kraków.

Uderzenie z przyczółków pod Magnuszewem, Puławami i Staszowem było dla armii niemieckiej ciosem nokautującym. Pomimo usilnej obrony na Wale Pomorskim, w Kurlandii, Prusach Wschodnich, na Wybrzeżu i wreszcie na Odrze i Nysie obrona hitlerowskich Niemiec trwała tylko 104 dni.

Dane statystyczne — wg V tomu „Historii Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego"... Wyd. MON 1965.

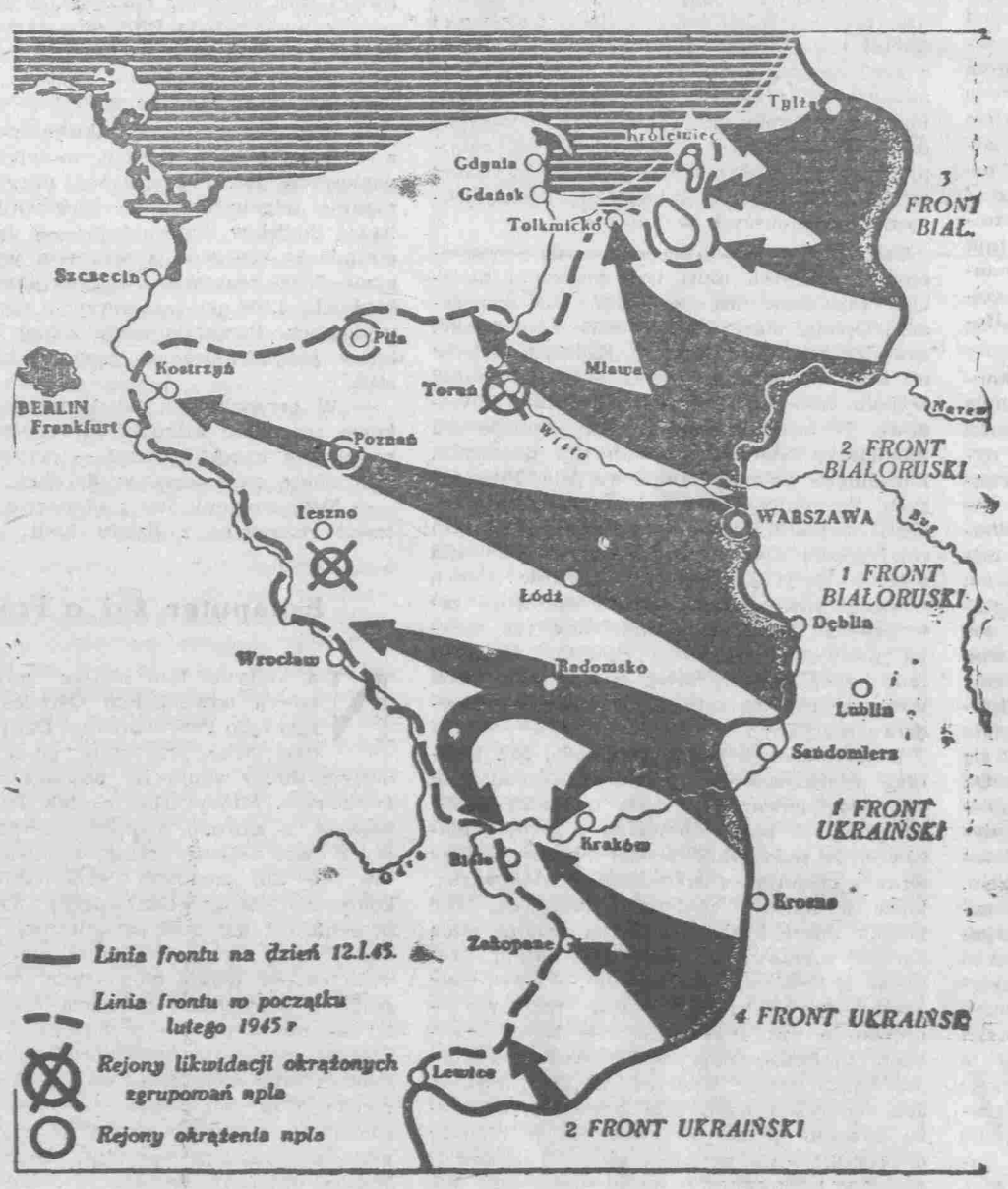

Waszmość komputer

Stanisław Ramo

Kontakty rodziny Radońskich z Hutą nie od kowala Józefa wzięły swój początek. Chociaż prawdę mówiąc, starszy pan Marian, brygadzista sędziwej walcowni, któremu 34 lata stażu w ubiegłym roku stuknęło, właśnie o tym wyrobniku młotowni najwięcej opowiadał. — Prawie pół wieku mój ojciec tu pracował — rzekł mi na niedawnym spotkaniu. — Walił młotem, aż w karku strzykało! Kuł nawet osie do parowozów, proszę pana. Chwalił się swoim ojcem przodownikiem, pokazywał pożółkłą fotografię wąsala; stał na pierwszym planie fotki, w ręku zamiast młota trzymał radioodbiornik — nagrodę główną za sukcesy w pracy zawodowej. Wąsalem więc rodzina Radońskich się chlubi, ale przecież pierwsze pokolenie robociarzy nie kował Józef — powtarzam — lecz pradziad Walenty założył. Od niego tradycje robotnicze w rodzinie się liczą. Pradziad, robotnik sezonowy w okolicznych lasach, także handlarz bydła, zaciągnął się pierwszy w szeregi hutników, mało rozumiejący półanalfabeta spod Waśniowa.

Pracowali w starej hucie, dymiącej, kopcącej czarnym smrodem; potrzebna im była krzepa, zdrowie, plus proste umiejętności manualne. Nikt nie pytał o świadectwa, dyplomy. Wręcz przeciwnie: robotnik wykształcony, samodzielnie myślący, był niemile widziany. Z takich komuniści wyrastali. Wiadomo — zaraz rozruchy, strajki, bunty, tajne konszachty i spiski. Niedaleko szukać; jak ten Jędrzejewski, teść Mariana Radońskiego, komunista, więzień sanacji, zaś po wojnie pierwszy wytapiacz w stalowni. I w pierwszych latach po wojnie też różnie bywało. Nacisku nie było, nie poganiali zbytnio do nauki; potrzeby pilnej nie widziało się. Jeszcze przed kilku laty notowało się ludzi ledwo umiejących pisać i czytać. Od czterech lat karta historii się odwróciła — jak to poetycznie rzekł pan Marian. Bez dyplomu nie masz szans! Jawet prostym robociarzem trudno w hucie zostać. Owszem, z wielkiej łaski przyjmują i takich, ale zaraz pędzą na szkolną ławę, na kursy specjalistyczne; przyrzeczenia składać trzeba o dokończeniu szkół, bo w przeciwnym wypadku zwolnią. O awansie nawet marzyć nie można bez tych papierków. Zanim syn Mariana brygadzisty — Janusz dosiadł w nowej prasowni stalowego kolosa zwanego manipulatorem, musiał wpierw szkoły zawodowe ukończyć, praktyki odbyć nie tylko w macierzystym zakładzie, lecz także w hutach Stalowej Woli, Warszawy. Musiał zdać egzaminy po 13-miesięcznym kursie specjalistycznym. Podobny chrzest przeszedł jego młodszy brat Waldemar, zanim został dopuszczony do obsługi nowego pieca na elektrostalowni.

Siła rąk coraz mniej imponuje, liczą się przede wszystkim sukcesy głowy. Liczą się efekty pracy umysłowej: kalkulacja ekonomiczna, zastosowanie nowej techniki, organizacji pracy, optymalne decyzje w kierowaniu procesami wytwórczymi. Dziesiątki miliardów złotych idą na inwestycje w ostrowieckiej Hucie. Bodaj 35 tysięcy ludzi będzie tutaj za kilka lat pracować. Najpóźniej za lat kilkanaście. Praca ludzka, jej ocena, z konieczności niejako musi mieć inne wymiary. — Te zadania, które mieliśmy realizować po roku 1980, już teraz stają się dla nas aktualne — powiedział mi ostatnio mgr Stanisław Broda, naczelny Huty — Nasz kombinat metalurgiczny będzie jednym z największych w Europie.

Taka jest wymowa gospodarczych przyspieszeń. I człowiek musi tym procesom nadążyć. Dorównać im, jeśli już nie wyprzedzić. Opodal starej Huty, rośnie zespół szkół zawodowych. Kuźnia kadr. Kilkaset metrów od kuźni pradziada Walentego. W skład zespołu wchodzą: Policealne Studium Zawodowe, Technikum Hutniczo-Mechaniczne dla młodzieży, takież technikum dla dorosłych, Zasadnicza Szkoła Zawodowa dla Pracujących, Zasadnicza Szkoła Metalowe dla młodego narybku. Ogółem kształci się w tym roku blisko dwa tysiące osób. Wszyscy dla potrzeb Huty. Kosztem 34 milionów złotych wyrasta nowoczesne centrum szkolenia zawodowego. Budynek dydaktyczny już przyjął pierwszych uczniów, chociaż wszędzie czuć jeszcze świeżą farbę, mokry tynk. Obok wznoszą się warsztaty szkoleniowe — prawdziwa fabryka!

W gabinecie zastałem dyrektora, inż. Henryka Fjankowskiego, już przed dwudziestu laty oddelegowanego z huty do pracy pedagogicznej. Z pasją opowiada o swojej placówce. Z jego szkół wyszli ludzie, którzy teraz zajmują eksponowane stanowiska, także w innych zakładach Ostrowca, ba! innych miast kraju. Poszli na studia, robią karierę naukowców, polityków, administratorów w resorcie przemysłu. — Powróćmy jednak do pierwszego wątku rozmowy — proponuje inż. Fjankowski. — Nowe centrum, to będzie naprawdę nowoczesna kuźnia kadr. Proszę spojrzeć na te warsztaty. Jak fabryczna hala, cała przeszklona. Nauka zawodu będzie odbywać się w oparciu o produkcję na potrzeby Huty. Tak będzie dobrany program nauczania, aby miało ono zarazem charakter wytwórczy. Będziemy finansowo samowystarczalni.

Słucham utyskiwań: mimo tych milionów przeznaczonych na kształcenie nowej załogi, wciąż odczuwa się niedostatki. Ot, internat — problem nie lada. Dotychczasowy mieści się w baraku, który już dawno powinien być zburzony. Ostatnio wizytował szkołę szef Huty, obiecał szybką pomoc. W przyszłym roku przystąpi się do budowy internatu na 300 miejsc, w rok później — powstanie drugi, tej samej wielkości. Pójdą miliony na inne obiekty szkoleniowego ośrodka.

Moją wiedzę w tym przedmiocie uzupełnił Julian Kostępski, kierownik sekcji szkolenia zawodowego Huty:

— Nawiązaliśmy kontakty ze szkołami zawodowymi w Opatowie, Siennie, Klimontowie. Chcemy te szkoły objąć patronatem, a nawet przejąć i finansować jako własne punkty szkolenia przyzakładowego. Praktykę uczniowie by odbywali u nas.

Przybywa zapisków w reporterskim notesie. Nie można było ograniczać się do młodego narybku, prosto po szkołach. Zrodziła się pilna konieczność kształcenia ludzi już pracujących w zakładzie, zwłaszcza na odpowiedzialnych stanowiskach. Podobnie z nowo przybyłymi: ci z wiosek, małych miasteczek, musieli zaczynać od uzupełnienia szkół, kwalifikacji. Wyszkolono takich w ciągu ostatnich czterech lat blisko 3,5 tysiąca! Poza tym co trzeci pracownik starej huty przeszedł na stanowiska w Nowym Zakładzie. A ponieważ nowe technologie, często prototypowe, wymagały większych kwalifikacji, zatem i tych ludzi trzeba było dodatkowo przeszkolić na kursach. Dziesiątki kursów zorganizowało się na miejscu, setki ludzi wysyłało się po naukę do wielkich ośrodków przemysłowych Śląska, Warszawy, Krakowa, Stalowej Woli, Poznania, Elbląga. Setki osób zdobywało dodatkowe kwalifikacje za granicą, w kilku krajach. Nawet sam dyrektor naczelny, z grupą ekspertów wyjechał do USA, aby tam zapoznać się z konstrukcją i technologią gigantycznego pieca 140-tonowego. Takie olbrzymy będą pracować właśnie w Ostrowcu.

A jaki jest rezultat kilkuletnich zmagań o większy poziom wiedzy, umiejętności zawodowych już 14-tysięcznej załogi? Na to pytanie odpowiedział mi kierownik działu kadr, Zdzisław Malinowski: — Jak dotąd, posiadamy 430 osób z wyższym wykształceniem, 2.200 pracowników z dyplomem szkół średnich, 4.500 po zasadniczych szkołach zawodowych. Pozostała część załogi ma różne kursy przyuczające do zawodu, bądź długi staż.

— W perspektywie lat Huta musi dodatkowo zatrudnić kilkanaście tysięcy osób z rzetelnymi kwalifikacjami — przypomniałem informację zasłyszaną w dyrekcji.

— Tak, ruszamy już z ofensywą — skwitował rozmówca z działu kadr.

Komputer śni o Frani

Na którymś tam piętrze nowego biurowca odwiedziłem Ośrodek Elektronicznego Przetwarzania Danych. Wszędzie cicho, przytulnie; po korytarzach niczym duchy snują się postacie w białych fartuchach. Młody człowiek inż. Hubert Staszewski, z zawodu analityk, prowadzi mnie przez dwie żelazne bramy, z kowanych prętów, do sali tronowej królewskiej mości komputera. Mózg elektroniczny „Odra 1304" prezentował się dość anemicznie, w postaci małej szafy mrugającej do mnie kolorowym okiem. Wokół niego stała świta — też szafy, z zewnętrzną pamięcią taśmową, dalej — nieco wyższe urządzenie piastujące funkcję dyrygenta-egzekutora, kilka innych maszyn oraz monitor — skomplikowane biureczko, a za nim jasnowłose dziewczę, Anna Buchmiet. Sekundował jej w czynnościach mało mi znanych operator, Zbigniew Maj. Trzeba przyznać, że jego wysokość komputer nie cieszy się czołobitnością wśród tych ludzkich białych zjaw.

— Patrz pan, jaki świntuch — mówi specjalista analityk. — On wciąż śni o gołej Frani.

Nacisnął guziczek, błysnęły kolorowe światełka sygnałów, zamruczał coś tam pod nosem komputer, zaś jego egzekutor zaczął przekazywać na papier rysunek: postać nagiej dziewczyny.

— Śpiewać potrafi? — zapytałem krótko.

— Owszem, dość muzykalny — potwierdza specjalista analityk. Znów pstryk guziczkami; migocą kolorowe światełka i w chwilę później z elektronicznego brzucha którejś z maszyn popłynęła rytmiczna melodia „Prażonej kukurydzy". Na moje zdziwienie, inż. Staszewski wyjaśnia: — To bardzo proste. Nałożyłem taśmę perforowaną na czytnik, gdzie była specjalnym kodem zanotowana ta melodia. Urządzenia wczytały program w mózg maszyny cyfrowej, ta zaś przekazała na pulpit sterowniczy... Coś tam jeszcze tłumaczył, ale przestałem notować.

— A tańczyć na linie umie? — zaciekawiłem się wszechstronnością komputera. Niestety, dostałem odpowiedź przeczącą.

— Hm, jak tam z tabliczką mnożenia?

— No ta, umie dzielić, mnożyć, odejmować, dodawać — śpieszy z pomocą operator Maj, aby ratować honor maszyny elektronicznej.

Wygląda na to, że jest dość pojętnym rachmistrzem. Jak na maszynę drugiej generacji, wcale, wcale! W ciągu s e k u n d y potrafi wykonać 38 tysięcy operacji dodawania i odejmowania, 10 tysięcy mnożenia, 5 tysięcy — dzielenia. Inna rzecz, że jego siostra przyrodnia „Odra 1305" może wykazać się jeszcze większymi zdolnościami, ale wiadomo! — działa na obwodach scalonych, bez tych staroświeckich tranzystorów. Szybsza jest w rachunkach dwadzieścia razy, zaś pojemność jej pamięci operacyjnej o 50 procent większa. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że obie mogą zastąpić rutynowaną maszynistkę biurową. Ostrowiecki komputer może pisać tekst wielokrotnie szybciej, niż spora czeladka maszynistek biurowych.

Wydali na ten sztuczny mózg łącznie 25 milionów złotych. Za dwa lata przybędzie drugi komputer, potem kupią trzeci. W planach jest budowa oddzielnego pawilonu przeznaczonego wyłącznie dla Ośrodka Elektronicznego Przetwarzania Informacji. Znajdzie tutaj zatrudnienie przynajmniej ćwierć tysiąca specjalistów. Wysiłek ludzkich umysłów zwielokrotni swe efekty, dzięki automatom. Jak to wygląda konkretnie, w przełożeniu na rachunek ekonomiczny? Po cóż te dziesiątki milionów inwestycji, jakie wymierne korzyści przyniosą? — zasępiam się w myślach. — Czy rzeczywiście opłaca się skórka za wyprawkę?

Przyszedł właśnie z jakiejś narady ojciec pani Anny, tej uroczej blondynki za monitorem w sali komputera. Inż. Wacław Buchmiet jest kierownikiem ośrodka, niemal od pierwszych dni jego narodzin. Razem z inż. Wojciechem Kolatorowiczem, dziś sekretarzem komitetu partyjnego w Hucie, byli pierwszymi organizatorami. Inż. Buchmiet nie zawsze entuzjazmował się elektronicznymi „nowinkami". Siedział sobie spokojnie, poczciwie, w administracji wydziału walcowni, ciche wiódł życie, unormowane, aż tu kiedyś wzywają i nagle jak grom z jasnego nieba! pada służbowe polecenie: organizować elektroniczny ośrodek! No cóż, na starsze lata trzeba było uczyć się od podstaw. Co innego córka, młodziutka Anna; ta od razu ze szkolnej ławy — na stanowisko w swoim zawodzie. Ale on musiał wszystko od zera. Właśnie w kilka miesięcy potem, gdy zrobił zaocznie dyplom inżyniera i nie zdążył się nim nawet nacieszyć. Znów był zielony, jak małorolny spod gruszy polnej. Znów wtłaczanie w głowę sekretów obcej mu dotąd wiedzy: elektronicznego programowania. Zapoznawać się musiał z nową organizacją pracy, obcą mu techniką maszyn cyfrowych, przetwarzania danych. Nic dziwnego, że dąsał się z początku, czuł się pokrzywdzony przez los; szybko mu przeszło. Przełamał psychiczne opory. Dostrzegł w końcu pięknie rysującą się szansę dla siebie, dla swego zakładu. Teraz podobnie jak analityk Staszewski, przy każdej okazji powiada: — To wspaniała, twórcza praca! Ileż przynosi satysfakcji!

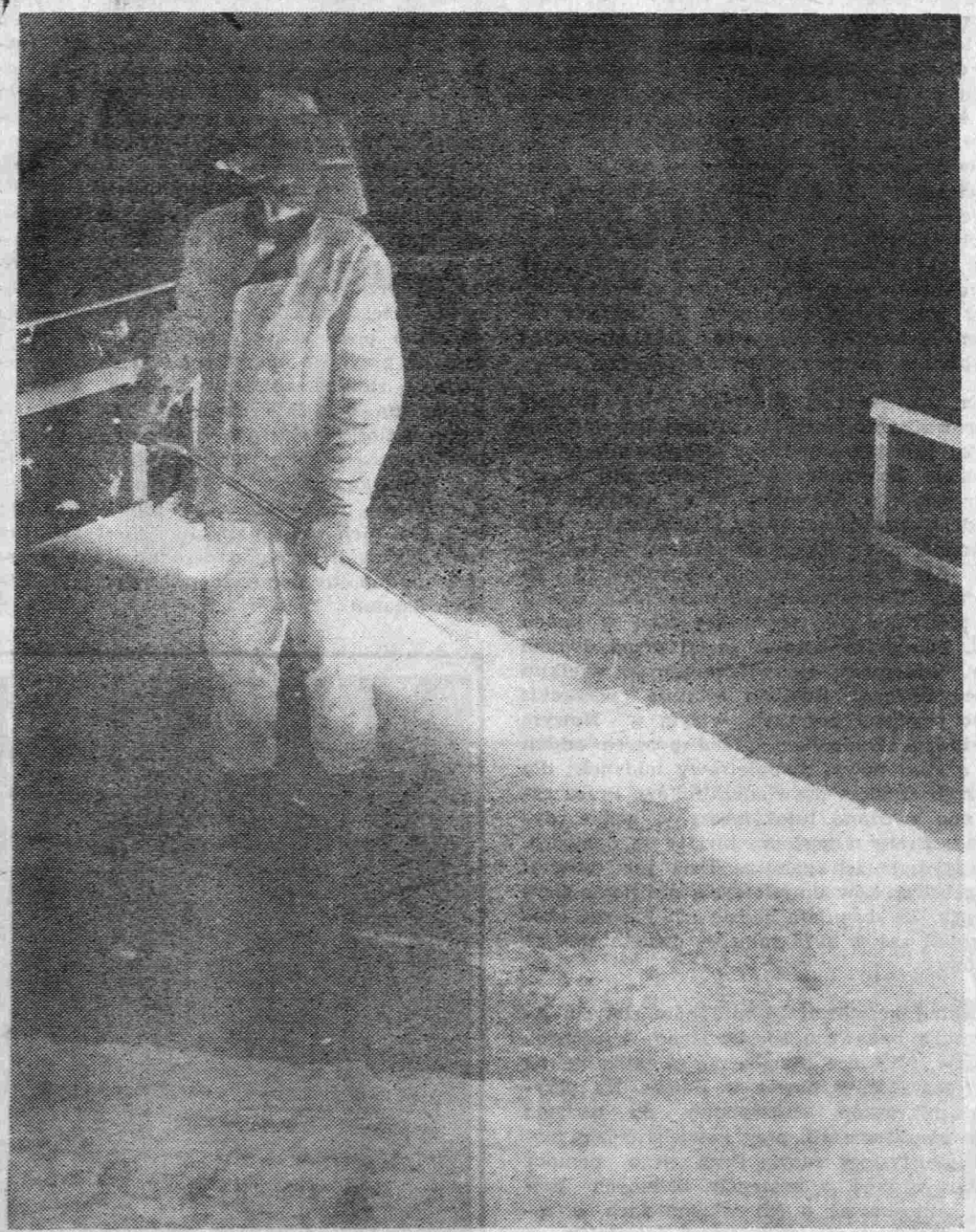

fot. H. Skrucha

— A prócz satysfakcji?

— Chodzi o wymierne korzyści dla Huty, prawda? — odgaduje sens pytania analityk.

Inż. Buchmiet robi krótki wykład. Streszczam jego wywody: Taki gigantyczny kombinat metalurgiczny, jaki powstaje w Ostrowcu, musi pożegnać się z tradycją. Musi porzucić chałupniczy system zarządzania, organizacji pracy, planowania, sterowania procesami wytwórczymi. Dziesiątki tysięcy pracowników, dziesiątki miliardów złotych inwestycji, na miliardy liczona wartość rocznej produkcji — są to wielkości, przed którymi umysł ludzki staje zażenowany. Nie ogarnie wszystkiego. Stąd łatwo o uproszczenia, błędy, a pomyłki to miliony złotych strat. Komputery będą mogły zastąpić setki księgowych, planistów, ekonomistów. W pewnych sytuacjach będą wykonywać pracę, w ciągu kilku minut, której by nie podołały nawet tysiące buchalterów. Nie chodzi tylko o szybkość przekazu informacji, niezbędnej przecież na co dzień przy podejmowaniu optymalnych decyzji. Chodzi o przygotowanie produkcji i konkretne interwencje maszyn automatycznych w samej produkcji. A więc na bieżąco regulacja grubości walcowanych blach, cięcie prętów, dobór kęsisk, parametry odkuwek itp. Komputer może natychmiast, nigdy się nie męcząc, obliczać wielkość wsadu, regulować dopływ gazów w piecach, analizować skład chemiczny stali; potrafi w optymalny sposób regulować procesem wytopu. A także rozliczać produkcję, sprzedaż i wysyłkę wyrobów, w sposób prawidłowy rejestrować i prowadzić gospodarkę materiałową. Informuje zaraz o jej stanie, nie trzeba czekać długie miesiące na zamknięcie bilansu. Komputer powie, ile ludzi ma ukończone kursy behape, jaki jest średni wiek załogi, wykształcenie, jakie ma zdrowie kolektyw — dajmy na to — na wydziale elektrostalowni, ilu jest rozwiedzionych, a ilu niepocieszonych, komputer o wszystkim i każdym potrafi na poczekaniu powiedzieć. O każdym pracowniku — szczegółowa biografia. To bank informacji, który z każdym rokiem będzie bogacił się o nowe wiadomości. W jego pamięci — niczym w największym archiwum świata — można pomieścić nawet bardzo drobne, pozornie mało ważne fakty. W sumie dają pełny obraz załogi, gospodarki; rejestrują historyczne fakty, wyprowadzają wnioski na przyszłość.

Słysząc to, poszedłem jeszcze raz do sali komputera, aby pokłonić się wielkiemu mózgowi. Zresztą, czy ja wiem? może po prostu uśmiechnąć się do jego opiekunki, uroczej, jasnowłosej zza pulpitu sterowniczego.

Doktorzy przemysłu

Wpierw zapytałem się telefonicznie, czy doktor Weroński może mnie przyjąć. Powiedziałem co mi dolega: piszę reportaż o naukowym awansie załogi, więc może...

Chciałbym koniecznie się z nim widzieć; doktor jest absolwentem przyzakładowego technikum Huty i żywą ilustracją szans każ-

dego młodego człowieka. Zresztą z tegoż technikum wyszli inni, zanim poszli na wyższą uczelnię: brat Andrzeja Werońskiego — dr inż. Wiesław, zastępca dyrektora naczelnego Huty; dr inż. Krzysztof Kasprzyk — kierownik działu specjalistów technologów w zakładzie badawczym; dr inż. Wiesław Kwiecień — kierownik wydziału elektrostalowni; dr inż. Henryk Malinowski — specjalista technolog w Dziale Głównego Technologa Huty. Przygotowują się do otwarcia przewodów doktorskich: mgr inż. Jerzy Opidowicz, mgr inż. Leszek Chrzanowski, mgr inż. Marek Pastuszko. Z każdym rokiem będzie się poszerzać lista wybitnych ekspertów różnych dyscyplin wiedzy.

Dr inż. Andrzej Weroński pełni funkcję kierownika Zakładu Badawczo-Doświadczalnego; jest także jednym z wykładowców w punkcie konsultacyjnym Politechniki Świętokrzyskiej w Ostrowcu. Mówi o swoim zakładzie, wspomina opory, jakie trzeba było pokonać, zanim powstał ten ośrodek badawczy. Ale powstał, zdążył się rozwinąć, umocnić. Przyzwyczaili się doń ludzie, uznali za placówkę pożyteczną. Bo taką w końcu jest. Pamiętam, było to bodaj przed dwoma laty. Włóczyłem się wieczorem po wielkim placu budowy. Robiono ostatnie porządki; rano przyjazd premiera, wizyta w Nowym Zakładzie. Budowlani przed północą oddali do użytku nowy, dwupiętrowy budynek; dla potrzeb badaczy-doświadczalników. Przez całą noc zwożono tutaj maszyny, meble, dywany, firany i zasłony, kwiaty w donicach. Wtedy była ich garstka. Dziś już więcej: 30 pracowników umysłowych, nie licząc fizycznych. Za dwa lata będzie ich już coś około setki, zaś w 1978 roku — dwustu specjalistów.

Zakład kosztował 25 milionów złotych. Aparaturę badawczą sprowadzono z różnych krajów. Niektóre urządzenia są unikalne na Kielecczyźnie, a nawet w Polsce. Na przykład mikroskop elektronowy do badania mikrostruktur stali, przy powiększeniach nawet sto tysięcy razy. Przy jego pomocy można wnikać w szczegóły badanych metali, wnioskować o ich własnościach, a zatem projektować takie własności, jakie są potrzebne użytkownikowi. Takiego mikroskopu nie ma nawet Politechnika Świętokrzyska. Wart był dwa i pół miliona złotych. Jest właśnie w fazie rozruchu, a opiekuje się nim zespół pani mgr Ewy Kończak. Przyzakładowa placówka badawcza posiada między innymi dyfraktometr rentgenowski do badania struktury metali przy pomocy promieni rentgena. Nawiązano już współpracę naukowo-badawczą z pierwszymi instytutami: Mechaniki Precyzyjnej w Warszawie, Obróbki Plastycznej w Poznaniu, Metalurgii Żelaza w Gliwicach, a także z krakowską AGH, Politechniką Świętokrzyską.

Dr inż. Weroński zwierza się:

— Gdyśmy organizowali ten ośrodek, niektórzy pytali z przekąsem: komu to potrzebne? Po co tracić miliony?

Tak, są to początki typowe dla innowacji, śmielszej myśli. Zawsze wpierw trzeba pokonać opór biernej materii. No cóż, w ostatnich kilkunastu miesiącach wykazali dostatecznie jasno swą przydatność. Zgłosili osiem rozwiązań technologicznych do opatentowania, to znaczy cztery razy więcej niż w ostatnim trzydziestoleciu całej Huty. Nowe opracowane technologie, jak oceniono, powinny przynieść rocznie dziesiątki milionów złotych oszczędności, między innymi dzięki obniżeniu zużycia materiałów w procesach przetwórczych.

Gdy wprowadzono kontrolę i ocenę spawanych połączeń szczególnie ważnych konstrukcji stalowych, wśród spawaczy-wygów, asów nad asy! powstało zamieszanie, rwetes. Zawrzało. Co to za metody! Nas pouczać? — Piętnaście lat byłem przodownikiem, premię biorę za najlepszą robotę — krzyczał jeden z nich. — A ten mi tutaj z jakimś radiogramem... Radiogram, to słówko stało się modne od niedawna. Radiogramy często wykazywały partacką robotę, ukrytą wewnątrz spawu — przed ludzkim okiem. Była to wina nie tylko pośpiechu, także nieumiejętności; ot, wynik zbyt wielkiego natężenia prądu, czasem wilgotne elektrody decydowały o partactwie. Radiogram wykazywał niezbicie wewnętrzne niespójności, pęcherzyki. Wykonali dwa tysiące radiogramów, a warte to jest milion złotych. Podobnie przy badaniu osi pojazdów trakcyjnych, dzięki pracom zakładu badawczego obniżono procent wybraków, co w skali rocznej przynosi korzyści około dwóch milionów złotych. Przeprowadzono badania hałasu na wydziale obróbki kokil, opracowano wnioski dotyczące zmniejszenia szkodliwości oparów przy walcowaniu, poprawienia warunków pracy w elektrostalowni itp. Zajmowano się więc także problemami na ogół dla nich marginalnymi. Słowem, już teraz wykazali ogromną przydatność, a przecież to dopiero początek przyszłych, ambitnych działań.

Niejeden raz tutaj byłem, z notesem reporterskim na wielkim placu budowy. Podziwiałem rosnące hale fabryczne, większe niż stadiony sportowe, konstrukcje nośne, piece, suwnice potężne, prasy o tysiącach ton nacisku; byłem przy narodzinach tego kolosa zwanego skromnie Nowym Zakładem. Wśród tych zwałów żelaza i stali, betonu i rozbabranej ziemi, ginął nieraz człowiek w polu widzenia. A on zawsze był ostatnią instancją decydującą o powodzeniu.

Przed odjazdem chciałem się zobaczyć z najmłodszym przedstawicielem rodziny Radońskich, Januszem z prasowni. Tam gdzie kują żelazo, lecz jakże inaczej od sposobów tradycyjnych. Nie zastałem go, pracował na innej zmianie. Wracając przystanąłem przed nowoczesnym kowadłem — prasą o nacisku 8 tysięcy ton. Kilkudziesięciotonowe bloki zgniata jak kostkę masła. I wówczas przyszedł mi na myśl dziadek tego chłopaka, kowal przodownik z dawnej huty, i jego pradziad analfabeta. Historia wpisała się w biografię hutniczych rodzin.

STANISŁAW RAMS

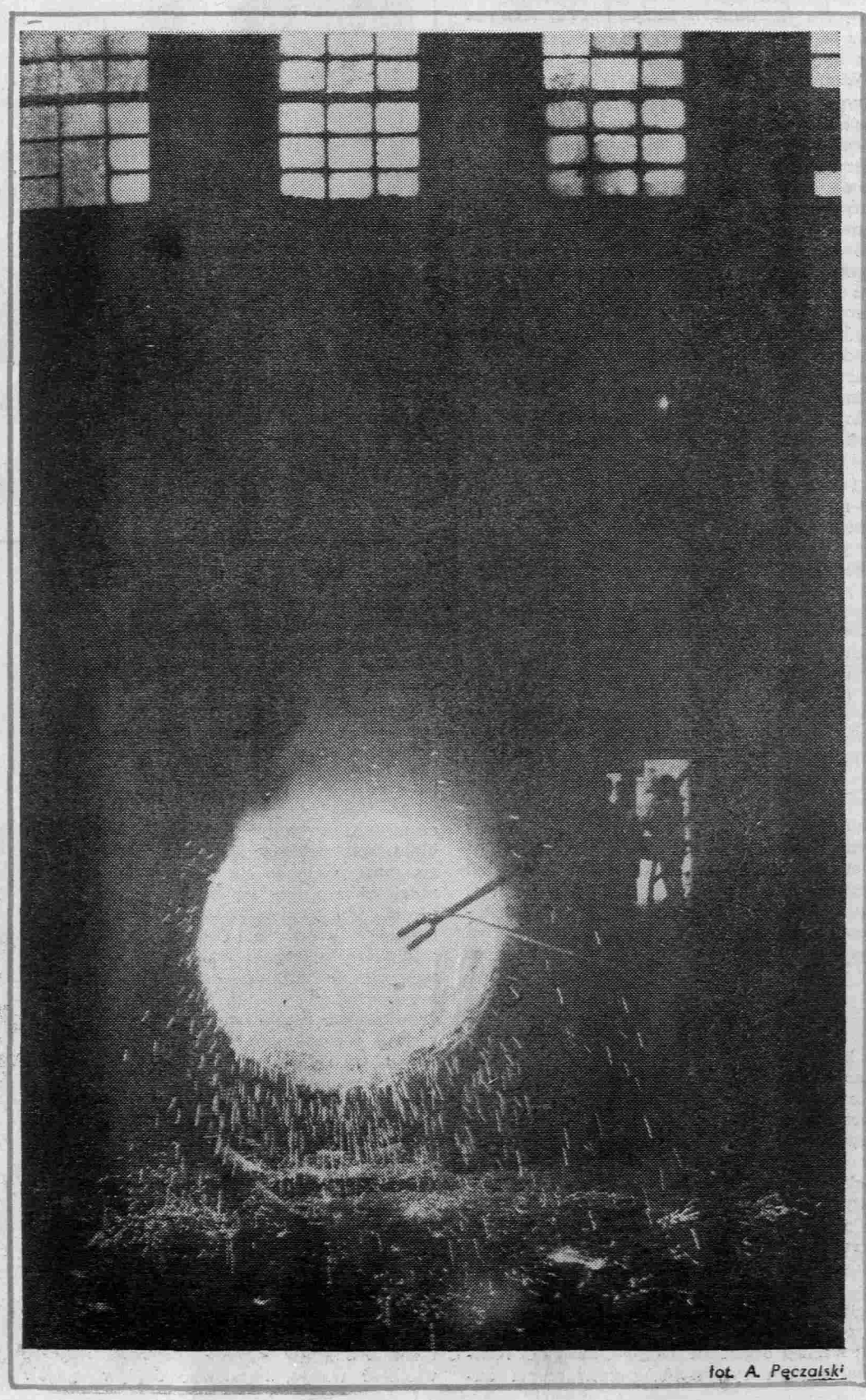

fot. A. Pęczalski

Jak Czarniecki...

„Jam nie z soli ani z roli, jeno z tego co mnie boli". Kto nie zna tych słów hetmana z Czarncy. Jest on obok T. Kościuszki, H. Dąbrowskiego jedną z najpopularniejszych postaci naszych dziejów. Owiany legendą przeszedł do współczesności. Noszą jego imię szkoły, placówki wychowawcze i drużyny harcerskie.

Stare podręczniki historii piszą o Czarnieckim, jako o żołnierzu, który zjawiał się ze swoim wojskiem zawsze tam, gdzie był potrzebny i odnosił zwycięstwa.

Wracamy do Czarnieckiego, my zwykli czytelnicy, a także historycy, fascynuje nas ta postać pierwszego w Polsce partyzanta i wielkiego wodza. W bieżącym roku nakładem Wydawnictwa MON ukazała się książka Zdzisława Spieralskiego „STEFAN CZARNIECKI 1604—1655". Autor przede wszystkim skoncentrował się na wojskowej działalności bohatera, bowiem w tej dziedzinie przejawiała się najpełniej osobowość hetmana.

Polska w tamtych czasach miała wielu wybitnych wodzów: Chodkiewicza, Koniecpolskiego, Lubomirskiego, a jednak nazwisko Czarnieckiego zachowało wyjątkową świeżość w działaniu na wyobraźnię. Czarniecki górował nad pozostałymi patriotyzmem, odwagą i nieprzejednaniem w walce. Był to dla Polski czas ciężkiej próby, regimentarz z Czarncy przeszedł przez niego z podniesioną szpadą.

Źródła do poznania i charakterystyki Czarnieckiego są dosyć skąpe, chociaż mamy sporo o nim opracowań. Oparto je o dostępne dokumenty historyczne i hipotezy, przypuszczenia, prawdopodobieństwa. Tak więc wcześniej A. Kersten w monografii „Stefan Czarniecki 1599—1665", jak i teraz Spieralski obok źródeł posługiwali się logicznym wnioskiem w oparciu o znajomość epoki. Książka Zdzisława Spieralskiego ma charakter popularno-naukowy i bez wątpienia zainteresuje naszego czytelnika osobą hetmana z kieleckiej Czarncy. Tym bardziej, że już wywołała ona spór między historykami

(pas)

fot. A. Pęczalski

inaczej

Maskarada

Antoni Topolak

Od Biłgoraja aż do Słupska — słowem po Polsce wzdłuż i w poprzek wrzeszczą bębny, gitary, trąbki, lśnią kreacje, płyną trunki słodkie lub gorzkie. Szał ogarnął wszystko co żyje, toteż zuchy i przedszkolaki też nie mogą nie chcieć popląsać przy herbatce i koniecznie trzeba im wyjść naprzeciw. Czynią to zatem z pełnym poczuciem obowiązku rozliczne Komitety, Stowarzyszenia, Instytucje czy też Zakłady Najprzeróżniejszej Maści.

Jak się robi bal dla maluchów?

Wiadomo przecież, że sam pączek, herbatka czy jabłuszko nie zadowolą klienteli. Tu trzeba czegoś, co w gardle ściska, co zapala krwiste rumieńce, co przenika do szpiku kości...

Więc oczywiście bal maskowy.

I już na tydzień przed imprezą mają mamy twórczych problemów co niemiara. Bo jeśli Józio pójdzie bez muchomorka, to skąd wziąć drugie białe majtki dla Gosi, która będzie wiosenką? Jacuś nie może być ułanem, skoro wcześniej tatuś Karolka zakupił w sklepie ostatnią szablę uprzedzając naszego żółwia-tatkę. Ignaś znowu jako pajacyk prezentowałby się rozkosznie, ale to głupie dziecko za nic przy obcych ludziach nie nadzieje piżamki. No, a gdzie wytrzasnąć indyka na pióropusz dla Krwawego Tygryska?...

Spływa zapustny tydzień na nocnym szyciu, podklejaniu, dramatycznych dysputach ze sceptyczną głową rodziny oraz na ustawianiu biednej pociechy, ogłupiałej już do cna.

Aż nadejdzie wyczekiwany ubaw. Jasne, że gwóźdź programu to oczywiście konkurs na najpiękniejszy kostium.

W takt big-bitu dociska się przed jury upiększona przyszłość narodu. Tu uwiera przyciasny gorset, tam peruczka leci na oczka, ówdzie szminka rozmaże się od głów po pięty, ale roznamiętnione mamy są przy nadziei. Wypychają swoje zmięte śliczności i wierzą święcie, że tylko dla nich czeka książeczka za dwa i pół złotego i z autografem Bardzo Ważnej Osobistości...

Z nóg padają umęczeni jurorzy, nawet jeśli wsunęli potrójną porcję pączków, więc pospiesznie spełniają obywatelski obowiązek, aby wreszcie siąść na zapleczu przy czymś krzepiącym pod pokerka...

I już przy dźwięku fanfar, z entuzjazmem prezentuje się pierwszą parę — groźny cowboy w komisowym rynsztunku to latarośl Pana Prezesa, zaś francuska dama w fiszbinach jest Panią Doktor w miniaturze. Teraz nabrzmiała dumą para jedzie z mamciami do pamiątkowej fotografii, a zaś pospólstwo z rykiem godnym bawołu napada na swych rodzicieli wyrzucając im gorzko beztalencie i skąpstwo.

Tomahawki idą pod łóżko dopiero po północy, kiedy złamany tatko zadeklaruje uroczyście, że w roku przyszłym, nawet gdyby trzeba na głowie stanąć, nie będzie gorszy od Prezesa.

Zatem do przyszłorocznej maskarady!

EMIL BIELA

Erotyk spełniony

leżysz otwarta
na dwudziestej drugiej stronie
najpiękniejszego miesiąca
w moim życiu
dziś wieczorem
następnej
wargami poszukamy wspólnie
nierozciętej strony

Pieśń o zabiciu

Opowiedzieć śmierć, opowiedzieć pożogę i bestialski mord ludzki, strach i odwagę w czasie okupacji, to bardzo trudne zadanie, zwłaszcza dziś, trzydzieści lat po wojnie. Oczywiście, jeśli to ma być opowieść niebanalna i prawdziwa zarazem, bazująca na autentycznych wydarzeniach. Napisano przecież całe tomy wspomnień, pamiętników, opowiadań, powieści, prac naukowych i artykułów przyczynkarskich. Toteż przyznaję, że z ogromnym niepokojem brałam do ręki **„Pieśń o zabiciu" Zbigniewa Nosala.**

Pieśń. Kieleccy autorzy lubią to słowo. Były już „Pieśni wyśpiewane" H. Jachimowskiego, była „Pieśń o Michniowie" R. Miernika. To słowo wiele sugeruje, nawiązując poniekąd do tradycji, ma swoją magię, przylega zgrabnie do utworu poetyckiego. Ale literatura faktu i pieśń?

Wiadomo, że Nosal oscyluje w stronę reportażu literackiego, że w niektórych jego publikacjach prasowych zacierają się granice między literaturą faktu a literaturą piękną.

Jaka jest więc ta pieśń pisana językiem prozy? Niepokój, który mi towarzyszył, kiedy sięgnęłam po tę książkę, powoli ustępował fascynacji. Porwała mnie magia Nosalowego słowa, wartka, barwna i zarazem pełna dramatyzmu narracja, obraz.

„Pieśń o zabiciu" mimo iż składa się z 23 krótkich — nazwijmy je umownie — opowieści, stanowi zarazem zwartą całość, dzięki przemyślanej kompozycji. Akcja utworu dzieje się na Kielecczyźnie w czasie okupacji. Narrator rozpoczyna swoją relację od wydarzeń wrześniowych, od pierwszych dni wielkiego zdumienia i wielkiej wojny, której pierwsze żniwo zaczęło się na Kielecczyźnie w Łelowie, Krasnej, Ciepielowie. Przed oczami czytelnika przesuwają się najbardziej wstrząsające sceny śmierci, które miały miejsce w regionie świętokrzyskim.

Mord i pożoga upamiętnione w pieśniach ludowych, które Nosal przywołuje w swojej książce na zasadzie dokumentu, autentycznego świadectwa, ożywają przed nami dzięki umiejętnemu posługiwaniu się słowem, obrazem, skrótem, dzięki wyrażonej dramaturgii poszczególnych opowieści.

„Nie tylko nad Huciskiem uniósł się tego dnia czarny dym. Na północy daleko w opoczyńskich lasach płonęły Gałki Krzczonowskie, bliżej za lasem na wschód — Skłoby". Wymordowano tego dnia — 11 kwietnia 1940 roku — 216 osób w Hu-

Piegowate życie

Reportaż to gatunek pojemny ogromnie, lecz wymagający nie lada pióra, by to, co zdaje się rewelacyjne w codziennej gazecie, stało się atrakcyjne i znaczące w publikacji książkowej.

Byłam więc ogromnie ciekawa czy reportaże Bronisława Zapały istotnie wytrzymały próbę czasu i mogą jeszcze dziś stanowić interesującą lekturę dla czytelnika spoza regionu. Muszę przyznać, że czytało się ten zbiór, nieźle, ale po lekturze całości, ogarnęły mnie trochę mieszane uczucia. Brak tej książce jednolitego charakteru, poziomu. Różna jest struktura poszczególnych utworów, różna tematyka przewija się w tych 22 reportażach.

Biorąc pod uwagę strukturę można zauważyć, że w zbiorze wyraźnie przeważają szkice portretowe nasycone związkami opisowo-charakteryzującymi oraz elementami akcji. Utwory te krystalizują się w ramach przestrzenno-tematycznych — a więc bohater i jego środowisko — lub na osi czasu, zwłaszcza wtedy, kiedy relacjonują biografię postaci. Taki charakter ma np. reportaż „Życiorys dziadka", który otwiera tom. Zapała portretuje rozmaitych ludzi. Przeważnie z wiejskim rodowodem. Prezentuje nam więc dziadka-hobbystę zbierającego zegary, starego chłopa, który stracił syna i nadzieję, że ktoś zajmie się ziemią, dwóch uczonych dziwaków, którzy zaszyli się na wsi, Władzia, Kapuścinę... Ale jak wspomniałam znajdziemy tam i inne portrety — starego nauczyciela muzyki Leona Solskiego, czy współczesnej dziewczyny.

Zapała nie rezygnuje jednak z takich typów reportażu jak: fabularny, gdzie akcja układa się w konsekwentną fabułę, gdzie mocno zarysowany musi być ciąg zdarzeniowy (np. „Mur") czy z reportażu interwencyjnego stanowiącego jego odmianę, w którym przeplatają się informacje, komentarze, dialogi z tokiem zdarzeń ukazującym losy ludzi, lub dzieje konfliktów np. „Niemowa", „W cieniu kościelnej wieży", czy „Opiekun". Ale i w tych utworach charakterystyka postaci, ukazanie różnych stron bohatera stanowi walor istotny.

W „Piegowatym życiu" znajduje się też utwór będący ewidentnym przykładem mozaikowego szkicu, w którym relacja, reportaż podróżniczy, szkic środowiskowy, problemowy, czy portretowy przeplatają się wzajemnie. Mowa tu o „Echu", w którym reporter kojarzy wydarzenia historyczne ze współczesnymi; w którym anegdoty, ujęcia akcyjno-dygresyjne, opisowo-charakteryzujące, dyskursywne, komentujące, przedstawia-

Walkowa Pani

Autentyk staje się coraz bardziej popularny. Kiedyś serię „Autentyków" firmowały „Iskry", teraz nie wstydzi się ich nawet Wydownictwo Literackie. Społeczeństwo wciąż czeka na dobrą powieść współczesną, na powieść o losach współczesnych pokoleń, a że takiej ciągle brakuje, że pojawia się sporadycznie – ludzie chętnie sięgają po wspomnienia i pamiętniki. Często świadomość, że nie mają do czynienia z tworem pisarskiej fantazji, lecz z „najprawdziwszą prawdą" podnosi walory książki, bo ciekawość ludzkiego losu, ludzkich przeżyć i doświadczeń nie umarła wcale z pojawieniem się literatury eksperymentalnej, afabularnej.

Dlatego o poczytność „Walkowej Pani" nie trzeba się trapić. Sięgną po nią w pierwszym rzędzie prawdopodobnie znajomi autorki, jej uczniowie, wychowankowie i ci, którzy znają jej twórczość z fragmentów drukowanych w „Przemianach", zwolennicy tego typu literatury.

Autorka „Walkowej Pani" była nauczycielką i jest znaną na Kielecczyźnie działaczką społeczną. W czasie wojny pracowała w ruchu oporu, była łączniczką między BCh i AL, prowadziła tajne nauczanie. Co krok ocierała się o śmierć.

Ale nie ten okres jej życia stanowi treść opublikowanych przez Wydawnictwo Łódzkie wspomnień, które tak rozpoczyna:

„W maju 1959 r. przeszłam operację. W czasie choroby nachodziły mnie obrazy lat młodych, groza wojny, początki organizacji władzy ludowej i moje życie osobiste – życie szarpane. Prześladowała mnie myśl – a może by to wszystko opisać? Zostawić synowi na pamiątkę – niech wie, że życie matki inaczej się układało.(...) W czasie pierwszych lat mojej pracy coś tam pisałam i nawet to drukowano. Z czasem jednak zarzuciłam pisanie. Obowiązki nie pozwalały. Potem otrzymałam rentę. Przyszła starość".

Swoje wspomnienia, swoją podróż w przeszłość rozpoczyna Agnieszka Barłóg od opisu miejsca urodzenia (Sielec w powiecie Busko) – do którego bez przerwy w całej książce się odwołuje, wraca – od drzewa genealogicznego swojej kmiecio-komorniczej rodziny, a kończy na ostatnich dniach sierpnia 1939 r.

Książka ta wykracza poza schematyczną biografię, chociaż wspomnienia te są w jakiś sposób chronologicznie uporządkowane. Sprawiają to liczne dygresje, opisy zdarzeń, dialogi, charakterystyka postaci, niezwykle barwna, pełna.

ciskach. **„Płacić przyszło — wiedzieli — za czternastodniową niepodległość, za pieśni żołnierskie, radość, nadzieję i wczorajsze zwycięstwo".** (s. 39).

Spalono Huciska, Skałkę, Żuchowiec, Michniów. „Przetoczyła się apokalipsa nad Włoszczową". Ginęły znane i nieznane oddziały partyzanckie. „To piekło, ten dzień bez Boga" wydarzył się wielokrotnie. Trwał. Powtarzał się. Ludzie żyli z tą świadomością, a jednak pomagali partyzantom... wymykali się śmierci i płacili za to... śmiercią.

O tym wszystkim wiemy, ale Nosal opowiedział to inaczej, udało mu się z dokumentu stworzyć literaturę wymykającą się gatunkowym przynależnościom, istniejącą samoistnie. Wykorzystał w tej opowieści wszystkie możliwe chwyty artystyczne i podporządkował je tematowi, faktom. I choć w tym zbiorze tyle bólu, autentycznego cierpienia, tragizmu — rzadko tylko można się natknąć na naiwno-patetyczną wypowiedź czy przejaskrawiony obraz.

Autor „Pieśni o zabiciu" często różnicuje wypowiedzi, raz narrator mówi głosem sciszonym do szeptu, innym razem dociera do nas tłumiony krzyk lub beznamiętna na pozór relacja, potęgująca jeszcze wrażenie.

Z ogromnym mistrzostwem udało się Nosalowi opowiedzieć tragedię Michniowa, opowiedzieć śmierć... Powtórzenia kompozycyjne, powtarzający się refren „Opowiedzieć śmierć" wywołują złudzenie, że mamy istotnie do czynienia z pieśnią. Z jednej strony refren, plastyczny opis, z drugiej oszczędna relacja: **„Paliła się cała wieś. Leżeli tam w ziemniakach do wieczora. Gdy słońce miało zachodzić i minął jakiś czas od chwili odjazdu żandarmów, wyszła Materkowa z synem na drogę. Kobieta i małe dziecko. Zobaczyli — nie ocalał ani jeden budynek. Nie widzieli nikogo żywego. Wszystkich trzeba będzie pochować".** (s. 94). Zakończenie tego utworu przypomina relacje, jakie znamy z „Medalionów" Nałkowskiej. Więcej jest w tej książce takich zdań i takich obrazów.

Ze szczątkowych relacji, z dokumentów historycznych, z zapisków, z pieśni i wierszy ludowych poetów zaczerpnął Nosal wiedzę o tamtych wydarzeniach, lecz przekazał, opowiedział je tak, jakby był autentycznym świadkiem apokalipsy, która przeszła nad Kielecczyzną.

Wspomniałam, że książka ta, choć niewątpliwie należy do kręgu literatury faktu, ponieważ autor pisze o wydarzeniach, które rozegrały się naprawdę, w konkretnym miejscu, wykracza poza reportaż nie tylko dlatego, że nie mówi o współczesności. Znamiona, typowego reportażu ma tylko ostatnia opowieść zamykająca „Pieśń o zabiciu", relacja o zamachu na szefa konfidentów kieleckich, gestapowca Witka, gdyż autor skonfrontował w niej obecne życie byłych zamachowców z przeszłością wojenną.

Otrzymaliśmy więc niebanalną książkę, literacki pomnik pomordowanych, literackie świadectwo martyrologii naszego regionu.

Zbigniew Nosal, Pieśń o zabiciu, Wydawnictwo Łódzkie 1974.

---

jące i informujące obecne są na równych prawach.

Lektura „Piegowatego życia" zdaje się świadczyć o tym, że Zapała nie dopracował się jeszcze swojej ulubionej formy, swojego typu reportażu, który byłby charakterystyczny dla jego pisania i wyróżniał je spośród publikacji innych autorów. Być może jest to wynikiem dużej rozpiętości czasu, w którym powstawały te utwory. Pisanie do gazety odcisnęło w nich swój ślad. Brak im tego szerszego oddechu, rozmachu, tego stopnia uogólnienia i formy artystycznej, która gwarantowałaby im trwałość. E. E. Kisch uważał, że po zebraniu i zbadaniu faktów trzeba użyć „nieograniczonego ogromu artyzmu", żeby bez szkody dla faktów powstała sztuka.

Większość tych utworów ma bowiem charakter dokumentu bardziej niż dzieła sztuki, dokumentu napisanego rzetelnie, z troską o to — by nie zgubić problemu, sprawy, portretu. Najbardziej pojemne treściowo są reportaże mówiące o wsi. Wieś przedstawiona przez Zapałę to wieś odwiecznych konfliktów, sporów o miedzę, nienawiści i zawiści, których przyczyną bywał najczęściej „majątek", ale równocześnie to arena powoli dokonujących się przemian społecznych, przemian obyczajowości i mentalności.

„Agronom — on jeden wie, na jakim świecie żyje, czego chce. (...) **Dla niego sprawy wsi nie są obojętne. To dzięki niemu wybudowano we wsi drogę, przyspieszono elektryfikację.** (...) **Dzięki niemu ruszyli chłopi do prac społecznych, wybudowali spółdzielnię zdrowia, szkołę"** (s. 107).

Dzięki agronomowi, „doktorkowi", piegowatej nauczycielce typowym reprezentantom wiejskiej inteligencji — zmieniała się kielecka wieś, kraina świętokrzyskich zbójców — sugeruje Zapała.

Mimo doskonałej prezentacji realiów, mimo wskazania zaczynających się przemian, odnosi się wrażenie, że obracamy się w kręgu problemów, które właśnie w związku z przemianami, jakie dokonały się w naszym kraju — schodzą na plan przeszłości. Widać, że te reportaże nie mogą być już świadectwem dnia dzisiejszego, że zdezaktualizowały się w pewnym stopniu, bo obecnie przecież inne problemy trapią współczesną wieś — brak rąk do pracy, migracja młodzieży itp. Nie są świadectwem dnia dzisiejszego, są jednak napewno dokumentem czasu przemijającego.

Nie zestarzały się natomiast te utwory, które mówią interesująco o odwiecznych problemach egzystencji ludzkich, obojętne — na wsi czy w mieście, a więc najlepszy chyba formalnie i problemowo „Mur", „Paranoja", „Echo" i niektóre portrety.

Czy autor nie mógł wygrać więcej? Czy sama wrażliwość na problemy moralne, na krzywdę ludzką musi wystarczać?

Bronisław Zapała, Piegowate życie, Wydawnictwo Łódzkie 1974, s. 203.

Opisując życie rodziców, swoje serdeczne okolice, autorka „Walkowej Pani", kreśli równocześnie obraz stosunków i zależności, jakie panowały w okresie międzywojennym na wsi pińczowskiej, kreśli ciekawe portrety ludzi.

Do wspomnień wprowadza gwarę, wiejskie powiedzenia i przydomki. Występujący w tej książce ludzie – mówią własnym językiem.

„Psiokrew" popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi. To jus. Cało mowa?

– Ano cała. Chcieliśmy usłyszeć co dacie?

– Nic, psiokrew, nie dom – splunął mi pod nogi. – Psa na wos pusce, dziadów trza gunić, psiokrew!...(14).

Barwne dialogi, zgrabnie opisane zdarzenia podnoszą autentyzm tej książki, a także jej walory czytelnicze.

Agnieszka Barłóg wyjechała ze swojej rodzinnej wsi jako pięcioletnie dziecko, a wróciła z dyplomem nauczycielki, z przydomkiem „Walkowa Pani". Bez pomocy rodziny zdobyła wiedzę i piątkowy dyplom znosząc wiele upokorzeń, godząc się często na poniżenie. Typowa biografia wiejskiego dziecka z biednej, wielodzietnej rodziny. Typowa, a jednak odmienna. Bo świeżo upieczona nauczycielka chciała nie tylko uczyć, ale zmieniać swoją ukochaną, lecz zacofaną wieś. Inspirowała młodzież wiejską, uczestniczyła wspólnie z mężem – nauczycielem i działaczem ludowym – w zebraniach, w organizowaniu kół „Wici" w swojej wsi, w Kazimierzy Wielkiej – skąd za radykalną postawę musiała się szybko „wynieść", wreszcie w Piotrkowicach, gdzie uczyła do wybuchu wojny.

Działała, pisała nowelki – autentyki, które zamieszczała w różnych pismach. Pokazywała w nich wieś, jej piękno i jej nędzę, demaskowała zakłamanie ówczesnych władz lokalnych.

Z „Walkowej Pani" wyłania się sugestywny obraz przedwojennej wsi kieleckiej, obraz zmian zaczynających się rodzić w świadomości społecznej chłopów. Ciekawie przedstawiła Agnieszka Barłóg pracę „wiciowców", poczynania działaczy ruchu ludowego, trudną sytuację radykalnych pedagogów.

Autorka „Walkowej Pani" wspomina zarówno swoje przyjaźnie jak i animozje, szczerze pisze o swoich poczynaniach i osiągnięciach. W czasie pracy i działalności zetknęła się z różnymi ludźmi, z działaczami ruchu ludowego, z pisarzami, z publicystami.

Oto jak wspomina ostatnie ciekawe spotkanie z Józefem Chałasińskim dyrektorem Instytutu Kultury Wsi, który przyjechał razem z jej mężem do rodzinnego Sielca niedługo przed wybuchem wojny:

„A po chwili rozgadali się o wsi kieleckiej. Pięknej a jednocześnie zacofanej. (...) Doznałam ogromnej radości jak z ust dyrektora usłyszałam słowa: – Pisze pani dosyć ciekawie. Należy więcej pracować". (282)

• **Agnieszka Barłóg, Walkowa Pani, Wydawnictwo Łódzkie, s. 284.**

Recenzowała RENA MARCINIAK

Teatr zamknięty czy otwarty?

Pozwolę sobie wyrazić osobiste przekonanie, że na dyskusję o kieleckim teatrze — zwyczajnie — czekało się... Przynajmniej ja, a sądzę, że ja nie tylko, odczuwałem pewien niedosyt informacji o tej ważnej dla miasta instytucji, zakresie jej działalności i obecnych problemach. Skąpe wiadomości docierały do opinii publicznej najczęściej z okazji przedstawień, za pomocą prasy, dzięki lakonicznym recenzjom, już to raczej omówieniom spektakli. W rzeczywistości informacja o teatrze stanowiła namiastkę tego, co publiczność, nawet potencjalna, wiedzieć o nim powinna. W tym przekonaniu nie jestem bynajmniej odosobniony. Utwierdził mnie co do tego jeden z uczestników niedawnej konfrontacji ludzi teatru, mec. Aleksander Czaplicki, nawiasem mówiąc, recenzent teatralny. Wyniki całej dyskusji opublikowane zostały na łamach ostatnich „Przemian" (1974, nr 12).

I oto milczenie... nad Teatrem im. S. Żeromskiego, mam nadzieję, zostało ostatecznie przerwane. Korzystając z tej okazji, chciałbym do dyskusji dorzucić kilka własnych uwag, poczynionych niejako poza głównym wątkiem rozważań „Przy okrągłym stole". Poza — gdyż dyrektor teatru, Zdzisław Grywałd, ześrodkował uwagę dyskutantów na generalnej sytuacji tej placówki oraz jej ośrodków filialnych, dowodząc przy tym dziesiątek niezliczonych, obiektywnych trudności, które, trudno ukryć, należą do smutnej rzeczywistości dnia dzisiejszego miasta i regionu.

Ale rzeczywistość teatru to nie tylko baza, a więc stan materialny i osobowy placówki. Teatr to również publiczność, a właściwie coraz częściej publiczność — na co zwracają uwagę teoretycy teatru. Przy okazji nasuwa się logiczne pytanie, jak w tym aspekcie wygląda działalność teatru kieleckiego. Pytania wydają się tym bardziej ważne, iż w gruncie rzeczy dzieło teatralne może zaistnieć tylko poprzez kontakt z widzem, a wszelkie działanie teatru powinno być ukierunkowane na widza.

We wspomnianej dyskusji problem kieleckiej publiczności podjął przede wszystkim Juliusz J. Braun, ale ta próba nie w pełni powiodła się. Wymiana poglądów skierowała tok rozważań na inne tory.

W swoich uwagach sprawę publiczności chciałbym ustawić od strony teatru. Przyjmując to założenie, przywołam z dyskusji mocne, lapidarne słowa J. J. Brauna. „Teatr nie może grać roli pomnika, który stoi i czeka na kwiaty. Trzeba przełamywać linię rampy na spektaklu i po — na razie adresując to posłanie do elity".

W metaforyce Brauna mieści się sedno sprawy, która łączy się bezpośrednio z zagadnieniem publiczności, z wyodrębnieniem sposobów jej pozyskiwania. Stwierdzenie Brauna skłoniło mnie do rozważań na temat, z czym wychodzi ta placówka naprzeciw publiczności. Przeglądając repertuar teatru za ostatni sezon, doszedłem do wniosku, że dominowała w tym okresie klasyka z wyraźnym ukierunkowaniem na klasykę „kameralną". Teatr sięgał najchętniej po sztuki „dobrze skrojone", których wzorcem najbardziej odpowiednim byłyby utwory Scribe'a który stał się symbolem prostot i łatwizn. Przykłady znamienne spośród sztuk kameralnych, o fabule prostej: „Odwety", „Uciekła mi przepióreczka", „Żeglarz". Nic nie ujmując wspomnianym utworom, swoje uwagi odnoszę do ich realizacji scenicznych. Nieco poza tę kameralność „wyszły": „Wyzwolenie" i „Król Mięsopust". Lecz nazywając rzecz po imieniu, scena kielecka — wcale nie ze względu na skalę możliwości — jest sceną pudełkową, odgrodzoną od publiczności nie tylko rampą, ale także dystansem czasu i problemów.

Czy są to słuszne wnioski? Czy teatr kielecki wykorzystał wszystkie możliwości dotarcia do widza i pozyskania go dla swojej sprawy? Zamiast odpowiedzi na pytania, posłużę się przykładem Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, który podczas ostatnich sezonów wystawiał całkiem udane spektakle w szkołach średnich, w salach gimnastycznych. Z góry tam zakładano, że sztuka, która dociera do młodzieży, nie musi wymagać sakramentalnych czterech ścian. Że w sztuce równie dobrze jak sztampowy rekwizyt mogą być przydatne drążki do ćwiczeń gimnastycznych. Jeśli uczeń pojmie, że drążek z powodzeniem zastępuje misternie skonstruowaną drabinę teatralną, to teatr jest jego dobrym nauczycielem. Nie muszę dodawać, że teatry trafiają wprost do zakładów pracy, do stołówek robotniczych, i że niekoniecznie dają tam sztuki niepełnospektaklowe.

STANISŁAW STANIK

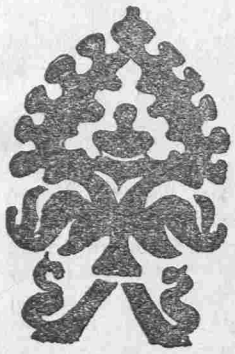

Psi człowieka

Jacek Głażewski

17 października odbyło się w Warszawie inauguracyjne zebranie Sekcji Psychotroniki Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego działającego w ramach Polskiej Akademii Nauk. Fakt ten zalegalizował u nas badania zjawisk, które, jak dotąd uważano, leżą w sferze fantazji. O tym, że tak nie jest, może świadczyć chociażby to, że w USA, Japonii i pewnych innych krajach badania w zakresie psychotroniki prowadzą instytuty i uczelnie wojskowe, a niektóre z tych badań okryte są tajemnicą.

Ludzi intrygowały zawsze zjawiska, których nie potrafili wyjaśnić bądź zrozumieć, działo się to zarówno w czasach najdawniejszych jak i dzisiaj. Świat człowieka to w istocie zespół wyobrażeń o realnie istniejącym otoczeniu, zespół wyobrażeń kształtowanych przez naukę, sztukę i kulturę, tradycję, religię i mity. Poznanie świata i racjonalne kształtowanie postaw zależne jest od nauki, przeciętny człowiek jednak coraz mniej rozumie naukę i nabiera coraz silniejszego przeświadczenia, że jeżeli nawet ona coś osiągnęła, to za zbyt wysoką cenę i nie tam, gdzie byłoby to najpotrzebniejsze.

Warto więc w tym miejscu przypomnieć zdanie Mauriaca. *„Nauka nie tworzy nic nowego na miejsce tego, co niszczy, a niszczy to, co jest istotą osobowości, bytu, życia; mówiąc ściślej, tworzy ona jedynie wartości materialne i wynalazki mechaniczne, martwe i zimne bryły, które nas nie interesują i których nie rozumiemy".*

Nikt z nas nie zna obszaru ludzkiej niewiedzy, nie wiemy przeto, co się kryje i co tam można odnaleźć, ludzi nauki cechuje często nieświadomość własnych ograniczeń, a więc niezdolność do publicznego oznajmienia, że nauka nadal nie jest w stanie zaspokoić wielu ludzkich potrzeb bądź odpowiedzieć na wiele pytań, jakie rodzi myśl. Ukrywając niewiedzę popełnia się często błędy, które są udziałem nie tylko uczonych.

Jesteśmy obecnie świadkami dosyć ciekawego zjawiska z dziedziny psychologii społecznej. Społeczeństwa cywilizowane na nowo zaczęły interesować się magią i okultyzmem, można mówić o swoistej eksplozji parapsychologii, a słynny amerykański film „Egzorcysta" idzie w kinach krajów zachodnich przy pełnych kompletach widowni, co jest we współczesnej kinematografii rzeczą prawie niespotykaną.

Niektórzy publicyści u nas i na Zachodzie lamentują, że świat zalewa fala zabobonu i ciemnoty. Irracjonalizm jest jednak normalną reakcją na prozę naszych czasów, odruchem buntu i ucieczki, chociażby tylko psychicznej, ze świata betonowych miast, stalowych szyn, nowoczesnej technologii i życia składającego się tylko z prasy i konsumpcji — w świat inny, mglisty i niepewny, gdzie prawda miesza się z wątpliwością i fantazją, i gdzie trudno nieraz odróżnić fakt prawdziwy od oszustwa.

Czym więc jest parapsychologią zagadnienia, zjawiska, fakty, którymi się zajmuje? Ma wielu zagorzałych zwolenników jak i przeciwników. Czy jest jeszcze jednym współczesnym mitem i chwilą modną, jakich było już wiele, czy też dziwne i niewytłumaczalne zjawiska i fakty istnieją. Czy Uri Geller siłą swojego wzroku bądź woli zginający i łamiący metalowe przedmioty jest swoistym fenomenem, czy tylko zręcznym oszustem? Czy oprócz rzeczywistości istniejącej realnie i poznanej istnieje także rzeczywistość realna nie poznana, której fragmenty mogą być niekiedy doznane przez nas, odczute lub dostrzeżone?

Racjonaliści są zdania, że pewność eksperymentalną i wiarogodność danego faktu czy zjawiska można uzyskać tylko wtedy, jeżeli obserwacja powtarzana jest tyle razy, ile sobie tego życzą w sposób uzasadniony najbardziej sceptyczni świadkowie; po to, by wyjaśnić i zinterpretować wszystkie istniejące obiektywnie elementy składające się na dany fakt czy zjawisko. Parapsychologii stawia się zarzut zasadniczy, że wiele faktów i zjawisk, którymi zajmuje się ta dziedzina, jest często trudnych lub wręcz niemożliwych do odtworzenia, a więc wiarogodność ich jest wątpliwa. Doktorzy Harold Puthoff i Russel Targ, którzy poddawali Gellera licznym seriom doświadczeń w listopadzie i grudniu 1972 roku na uniwersytecie w Stanford w USA, stwierdzili, że wielu zaobserwowanych zjawisk nie są w stanie wyjaśnić w żaden racjonalny bądź naukowy sposób. Obserwowano zjawiska, które polegały nie tylko na zginaniu lub łama-

niu metalowych przedmiotów bez dotykania ich, ale także przypadki teleportacji czyli przenoszenia przedmiotów na odległość w niewytłumaczalny dotąd sposób.

Niezwykłe fenomeny, które niejednokrotnie intrygowały, jak telepatia, jasnowidzenie, psychokineza i podobne, były dotąd pomijane milczeniem bądź nawet negowane przez oficjalną naukę, która nie była w stanie ich weryfikować aktualnie używaną aparaturą badawczą, metodyką i zespołem używanych pojęć. Powstawały jednak stowarzyszenia bądź zespoły badawcze zajmujące się tymi zagadnieniami. Już w 1882 roku w Londynie powstało „Society for psychical Research" i prawie równocześnie we Francji „Societé des sciences psychiques" i „Académie des sciences psychiques" zaś profesor Richet zaczął wydawać jedno z pierwszych pism poświęconych tej tematyce „Annales des sciences psychiques". W kilkanaście lat później powstaje w Berlinie „Psychologische Gessellschaft", a profesor Oesterreich z Tybingi w licznych swoich wystąpieniach nawołuje do zbierania składek na „Deutsches Zentralinstitut für Parapsychologie".

Profesor Charles Richet, słynny immunolog i fizjolog, członek Francuskiej Akademii Nauk i laureat nagrody Nobla za prace nad anafilaksją, interesował się jako naukowiec niezwykłymi zagadnieniami i przebywał nawet w kwietniu i maju 1922 roku razem z drem Geleyem w Warszawie, aby poznać właściwości medium, którym był Franciszek Kluski. A oto protokół z jednego z seansów:

„Seans w dniu 24.IV.1922 r. godz. 22.00.

Prof. Richet trzyma prawą ręką medium, dr Geley lewą. Jest jeszcze jeden uczestnik seansu p. St. Jelski. Wszyscy uczestnicy tworzą łańcuch dla wspólnej kontroli, która nie pozostawia nic do życzenia. Przed seansem kontrola całego pokoju. Drzwi kontroluje i zamyka na klucz dr Geley. Medjum chcąc, by kontrola była jak najpełniejszą, siada do seansu zupełnie nagie, mimo naszego protestu i chłodnej temperatury w pokoju. Ciemność. — Objawy. — Prof. Richet i dr Geley odczuwają mało znaczące dotyki. Hałaśliwe poruszenie przedmiotów poza prof. Richetem i medjum. Za każdym objawem telekinetycznym medjum wstrząsa się i stęka. Ręce jego ściskają wtedy konwulsyjnie ręce kontrolerów. Główny objaw stanowią piękne światła poza i nad medjum. Daje się wyczuć charakterystyczny zapach ozonu. Mgławica w kształcie lekko fosforyzującej kolumny unosi się ponad głową Kluskiego. Potem punkty świecące ukazują się i gasną. Rodzaj długiej świetlanej smugi kształtu komety, długości ponad 50 cm ukazuje się poza Kluskim na wysokości 1 m ponad jego głową, oraz około 1 m poza nim. Smuga ta składa się z rozsianych bardzo drobnych punkcików, niektóre z nich świecą bardzo silnie. Smuga kołysze się z lewej strony na prawą, potem odwrotnie, unosi się w górę a potem opada. Trwa dość długo (jedną minutę), niknie by ukazać się kilkakrotnie.

Po seansie stwierdzam, że pomimo chłodu, medjum, które pozostawało zupełnie nagie przez całą godzinę, ma całe ciało rozgrzane, jest spocone i bardzo wyczerpane".

(—) Dr Geley

A oto fragment innego z seansów z F. Kluskim także zapisany przez dra Geleya:

„...w chwilę potem wspaniały objaw świetlny. Świetlana ręka przesuwa się przed oczyma obecnych. W palcach widać jakby kawałek świecącego szkła. Ręka zdaje się być przezroczysta. Widać kolor ciała. Objaw jest nadzwyczajny — powtarza się trzy razy. Następnie świecąca ręka zbliża się do twarzy i oświetla ją, jest to piękna twarz męska. Nie mogłem zaobserwować dokładnie szczegółów. Podczas tej sceny medjum w transie, trzymane za obie ręce, ani nie drgnęło...".

Profesor Richet i dr Geley odbyli w czasie pobytu w Warszawie szereg eksperymentalnych posiedzeń z Franciszkiem Kluskim obserwując niewytłumaczalne zjawiska, następnie zaprosili go do swojego instytutu do Paryża celem powtórzenia tych eksperymentów w warunkach pełnej kontroli wykluczającej możliwość jakiegoś tricku bądź oszustwa. Poza protokołami z tych seansów pozostał następujący dokument podpisany przez prof. Richeta:

„Niniejszym stwierdzam, że kilkakrotnie w Paryżu i w Warszawie uczestniczyłem w seansach z medjum p. Franciszkiem Kluskim z Warszawy i że stwierdziłem w dobrych warunkach kontroli (w oryginale — dans de bonnes conditions de contrôle) zjawiska wskazujące na duże zdolności mediumiczne.

Na seansach tych stwierdziłem:

1. *Zjawiska świetlne od punktów świetlnych aż do dość silnych świateł różnych kształtów i barw.*
2. *Dotyki zmaterializowanych członków.*
3. *Zjawiska akustyczne.*
4. *Przesuwanie się, lewitacje, poruszanie się różnych przedmiotów, dużych i małych, jak również aporty przedmiotów, znajdujących się w pokoju seansowym, poza granicami dosięgalności medjum.*
5. *Tworzenie się foremek parafinowych, które po odlaniu w gipsie dają doskonałe kształty rąk i nóg ludzkich.*
6. *Materializacja rąk, twarzy, głów i postaci ludzkich, oświetlających się własnym światłem lub przy pomocy ekranu.*

(—) Prof. dr Charles Richet — Paryż"

(Protokoły dra Geleya i oświadczenie prof. Richeta — tłumaczenie z francuskiego).

Czym dzisiaj, po pięćdziesięciu przeszło latach od przedstawionych powyżej obserwacji, zajmuje się parapsychologia i ściśle związana z nią nowa dziedzina — psychotronika, której zadaniem jest wyjaśnienie na drodze naukowej zjawisk niezwykłych? W ubiegłym roku odbyło się na całym świecie szereg sympozjów i kongresów parapsychologicznych poświęconych tym zagadnieniom, myślę, że wystarczy podać tematy obrad i tytuły referatów, aby chociaż pobieżnie zorientować czytelników w tych zagadnieniach.

W St. Paul de Vence we Francji odbyła się międzynarodowa konferencja zorganizowana przez „Parapsychology Foundation" dotycząca zarówno aspektów historycznych, jak i kierunków aktualnie prowadzonych badań w dziedzinie parapsychologii-psychotroniki.

Six' enth Annal Convention of the Parapsychological Association miała miejsce w Charlottesville w USA we wrześni' 1973, gdzie wygłoszono następujące referaty: „Obiekty specjalnych badań", „Psychokineza", „Psi zwierząt", „Zmiany stanu świadomości", „Metodologia badań w parapsychologii", „Niezamierzone efekty psi występujące przy pewnych eksperymentach", „Postępy badań w psychokinezie systemów stabilnych".

Kwietniowe sympozjum, które odbyło się w ubiegłym roku w Montrealu w Kanadzie, dotyczyło następujących zagadnień: „Psychobiologia „Psi", „Stany świadomości, a czynniki aktywujące Psi", „Eksperymentalna orientacja modeli spontanicznych zjawisk Psi", „ESP, a wzór osobowości", „Badanie stanu świadomości osób o szczególnych zdolnościach poddawanych eksperymentom".

W tym samym czasie odbyła się w Londynie „Conference of the Parapsychological Foundation" poświęcona tylko jednemu tematowi „Parapsychologia i antropologia".

W czerwcu odbyło się międzynarodowe spotkanie w Pradze, gdzie po raz pierwszy oficjalnie spotkali się zainteresowani z krajów socjalistycznych i zachodnich, obszernie informowała o tym nasza prasa.

Listy

Kto szuka — nie błądzi...

Miła Redakcjo!

Szanujące się czasopismo powinno nie tylko bawić, ale także uczyć, a w każdym razie nie wprowadzać w błąd, dlatego więc przesyłam poniższe uwagi dotyczące kilku rażących pomyłek w 12 numerze „Przemian" z 1974 r.

S. 6: Nie jest prawdą twierdzenie na końcu artykułu „Bagdana" Pasternaka, jakoby Kielce należały kiedyś „do starostwa chęcińskiego". Starostwo należało do dóbr królewskich, Kielce zaś położone były tylko w dobrach biskupich na terenie powiatu chęcińskiego. Różnica między staropolskim starostwem a powiatem była mniej więcej taka jak teraz między PGR a WRN.

S. 8: Na sesji Żeromskiego referat pt. „Materialistyczno-historyczne treści poznawcze w Przedwiośniu" wygłosił n.e doc. dr Edmund Staszyński, lecz doc. dr Witold PTASZYNSKI.

TYLNA OKŁADKA: W. pożytecznej literackiej geografi Kielecczyzny Stanisława Mijasa przy haśle „Secemin" występują charakterystyczne dla niefachowej literatury nieścisłości, jeśli chodzi o historię reformacji. W krótkim zdaniu „W R. 1558 WŁASCICIEL ZAMIENIŁ KOSCIÓŁ NA ZBIÓR ARIAŃSKI I ZAŁOŻYŁ SZKOŁĘ BĘDĄCĄ FILIĄ AKADEMII RAKOWSKIEJ". występują następujące błędy: 1. powstanie zboru secemińskiego przypada na ok. 1553 r.; 2. nie był on ariański, ale protestancki (kalwiński:); 3. w takim stanie rzeczy tamtejsza (dobra zresztą) szkoła nie mogła być oczywiście filią ariańskiej akademii rakowskiej (założonej dopiero w 1602 r.). Znany synod secemiński 1556 r. nie był również ariańskim, choć przyniósł pierwsze ariańskie wystąpienie Piotra z Goniądza. Ten odważny „heretyk" został potępiony przez obradującą kalwińską większość. Nie było również na tym synodzie — wbrew Mijasowi — znanego pisarza ariańskiego, H(ieronima) Moskorzewskiego, który albo był „dopiero w projekcie", albo koszulę w zębach nosił.

Przy okazji dwie ciekawostki do literackiej geografii: Założycielem miasta Staszowa był międzynarodowy awanturnik polityczny Hieronim (Jarosz) Łaski. Ten wojewoda sieradzki i siedmiogrodzki, żupan spiski i ban chorwacki stworzył tu na spokojnej Sandomierszczyźnie zaplecze zbrojeniowe dla swych wojsk walczących na Węgrzech. Jego burzliwe życie, mieniący się podłością i świetnością umysł oraz arcyciekawe pamiętniki z konstantynopolitańskich podróży czekają na literackie wykorzystanie.

Właśnie 400 lat temu — w 1474 r. — zmarł w Stopnicy inny renesansowy obieżyświat, Franciszek Stankar. Ten prześladowany za wolnomyślne poglądy włoski uczony przez ćwierć wieku odgrywał olbrzymią rolę w rozwoju polskiej reformacji, u nas się ożenił i umarł, ale nie posiada dotąd żadnej polskiej monografii (w obcych językach napisano o nim całe tomy).

Doc. dr hab.
WACŁAW URBAN

Bardzo interesujące referaty wygłoszono także na kongresie w Southeast w USA.

W spotkaniach tych i dyskusjach brali udział wybitni nieraz przedstawiciele różnych dziedzin nauki, których nazwiska liczą się w nowoczesnej fizyce, elektronice, znane są powszechnie cybernetykom, astronomom czy biologom. Aby poznać istotę zjawisk znajdujących się w kręgach zainteresowania parapsychologii i psychotroniki, konieczna jest współpraca naukowców reprezentujących poszczególne gałęzie nauk, gdyż okazuje się nagle, że np. przy pomocy fizyki kwantowej i teorii pola można wyjaśnić niektóre niewytłumaczalne zjawiska z dziedziny psychologii czy fizjologii.

Parapsychologia budzi nadal dreszczyk emocji, sensacji i niesamowitości, uczucia te powstają wtedy, gdy brak jest zarówno refleksji krytycznej, jak i rzeczowej informacji. Aby poznać pełniej prawa rządzące żywą i martwą naturą, konieczne jest także naruszenie swoistego „tabu", jakie otacza wiele zagadnień.

Czy parapsychologia jest istotnie niesamowita? Zależy dla kogo. Przed dwoma laty we wrześniu odbyło się w Edynburgu czterodniowe sympozjum, jego uczestnicy legitymowali się nie tylko uniwersyteckimi dyplomami, ale i tytułami naukowymi, tematy nad kórymi głównie dyskutowano to zjawiska mediumizmu i duchów, dla dyskutantów były to zagadnienia jak najbardziej normalne.

SŁOWNIK POJĘĆ I TERMINÓW

ESP — (extrasensory perception — postrzeganie pozazmysłowe) — termin, który powstał w 1934 roku jako alternatywa dla używanych wtedy przez amerykańskich parapsychologów takich pojęć, jak supersensory perception, ultra-perceptive faculty, paranormal cognition, metagnomy itp. ESP jest specyficznym stanem świadomości reagującej na zewnętrzne wydarzenia lub wpływy, którego nie można wyjaśnić przy pomocy analizy funkcjonowania normalnych zmysłów. Obecnie poprzez ESP określa się trzy rodzaje stanów świadomości: telepatię, jasnowidzenie i prekognicję czyli zdolność dostrzegania zjawisk, jakie będą się działy w czasie przyszłym.

Parapsychologia — dziedzina z pogranicza psychologii zajmująca się zjawiskami psychicznymi, których nie można wyjaśnić na podstawie znanych dotąd praw i sił przyrody.

Psychotronika — termin ten powstał w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, określa interdyscyplinarny obszar badań naukowych, które za swój cel mają wyjaśnienie mechanizmów i praw rządzących fenomenami parapsychologicznymi.

Psi — termin ogólny określający specyficzne czynniki osobowości nie mające natury fizycznej, wpływające na powstawanie pewnych zjawisk lub procesów określanych jako parapsychiczne.

JACEK GŁAŻEWSKI

fot. M. Łopieński

kodeks pracy

W oczekiwaniu na sędziego

Jerzy Cygan

Nie można wprawdzie powiedzieć, że nowy kodeks pracy wywołał w społeczeństwie tak wielkie emocje, jak mistrzostwa świata w piłce nożnej, ale zainteresowanie jest, o czym zaświadczyć by mogła zapełniona po brzegi sala odczytowa kieleckiego KMPiK. Przybyliśmy tam licznie zwołani przez aż dwa twórcze stowarzyszenia: prawników i dziennikarzy, w celu aktywnego wzięcia udziału w tzw. „wolnej trybunie" związanej tematycznie właśnie z nowym kodeksem pracy. Możliwie aktualną wykładnię nowej ustawy miał dać specjalnie importowany na tę okazję sędzia Sądu Najwyższego, ale jakoś nie dojechał. Z konieczności więc musiał się tego, dość skomplikowanego zadania, podjąć sędzia Sądu Wojewódzkiego, pan Włodzimierz Tomyn, który zresztą przystąpił do dzieła z olbrzymim zapasem energii. „Wolna trybuna" przerodziła się w pewnym sensie w spotkanie z sędzią Tomynem. Na szczęście temat spotkania pozostał ten sam: nowy kodeks pracy.

Otóż jest to dzieło ze wszech miar godne uwagi, bowiem każdy z nas jest w jakiś sposób bądź pracownikiem, bądź też pracodawcą. Wszelkie ewentualne kontakty, a niekiedy konflikty, wynikające z pewnych współzależności między pracodawcami a pracownikami, autorzy nowej ustawy postarali się ująć w szereg paragrafów, rozdziałów, punktów i podpunktów.

Łaskawy Czytelnik musi mi uwierzyć na słowo, że nowy kodeks pracy jest bardziej postępowy od starego. Poprzednia ustawa obrosła zresztą stertą papieru powielaczowego, bowiem niemal każdy resort uznawał za stosowne wesprzeć tzw. „gołą literę prawa" własną interpretacją czyli ową wykładnią, prawa niejako na własny użytek. Obecnie, jeśli dobrze zrozumiałem, ilość ewentualnych autorów wykładni prawa została poważnie ograniczona. Można bowiem za takich uznać: Sąd Najwyższy, Ministerstwo Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych, CRZZ oraz resorty, przy czym obecni na sali prawnicy skłaniali się wyraźnie do udzielenia monopolu Sądowi Najwyższemu.

Najbardziej interesującymi momentami spotkania było wyłuskiwanie różnic między starą a nową ustawą. A różnice takie są i to dosyć istotne. Nowy kodeks pracy wyraźnie rysuje np. model postawy pracownika. Pracownik m.in. zobowiązany jest **„dążyć do uzyskiwania w pracy jak najlepszych wyników i przejawiać w tym celu odpowiednią inicjatywę".** *Otóż to, tego się nigdy tak jednoznacznie i jasno nie mówiło. Starczyło, by pracownik punktualnie przychodził do pracy i nie uciekał z niej przed czasem — by wszystko było o.k. Kogóż bowiem mogło szczerze interesować, co robi on między 7 a 15?*

Jednakże takie ujęcie problemu wywołało odrobinę niepokoju: pracownik ma przejawiać inicjatywę, popychać sprawę do przodu, a co „ma" kierownik lub dyrektor? Gdzie jest powiedziane, że ich również ustawa obowiązuje? I tu musimy poprzestać niestety na wykładni sędziego Tomyna, który jest zdania, że w końcu każdy szef ma jednak swojego szefa, wobec którego on

również, żeby utrzymać się w pracy, będzie musiał „dążyć do uzyskiwania najlepszych wyników i przejawiać w tym celu odpowiednią inicjatywę". Jest to argumentacja życiowa.

Nowy kodeks pracy, który właśnie zaczął obowiązywać, wprowadza inną formę nawiązywania stosunków pracy. Jest to niby to samo co było, ale nie zupełnie, rozróżniamy bowiem umowy o pracę zawierane na: okres próbny, okres wstępny i czas nieokreślony. Różnica między tymi trzema sposobami nawiązywania stosunku pracy polega na trzech różnych formach zerwania tych umów przez pracodawcę. Rzecz jasna najkorzystniejsza dla pracowników umowa o pracę jest ta, zawierana na czas nieokreślony. Okres wypowiedzenia umowy zawartej na czas nieokreślony wynosi bowiem: 2 tygodnie — jeżeli pracownik był zatrudniony przez czas krótszy niż jeden rok; 1 miesiąc — jeżeli pracownik był zatrudniony co najmniej 1 rok; 3 miesiące — jeżeli pracownik był zatrudniony co najmniej 10 lat. Na dodatek przy umowie zawartej na czas nieokreślony mają przy ewentualnym konflikcie z pracodawcą coś do powiedzenia zw. zawodowe, na co już w przypadku umowy na okres próbny i wstępny nie można liczyć. Tyle tylko, że związki zawodowe w myśl nowej ustawy muszą się wypowiedzieć szybko: w ciągu 5 dni.

Podczas spotkania z sędzią Tomynem w tym właśnie momencie dały się słyszeć pomrukiwania wyrażające konstruktywne niezadowolenie: bo przecież może się zdarzyć i tak, że konfliktowy pracownik gdzieś w dalekiej głuszy wycina drzewo, albo melioruje łąki, czy coś w tym rodzaju. Tam go zastaje wypowiedzenie. Radę zakładową ma ten człowiek np. w mieście wojewódzkim. Ztm napisze odwołanie, nim zakoduje list, nim ten list dojdzie i nim go rada zakładowa rozpatrzy — może minąć nie tylko ustawowych 5 dni, ale parę ładnych tygodni, i co wtedy? Otóż wykładnia jest tu na razie taka, że związki zawodowe powinny szybciej pracować. Oby, ale co z pocztą?

Zebrani na spotkaniu z sędzią Sądu Wojewódzkiego poświęciliśmy także sporo uwagi takim pojęciom, jak „porzucenie pracy". Kiedy ma miejsce porzucenie pracy przez pracownika? Czy porzucenie pracy jest aktem faktu, czy aktem woli? Koledzy prawnicy skłaniali się tu do przyjęcia tezy, że w grę wchodzi i jedno, i drugie, co znaczy, że skoro zaistniał fakt, musiał być i zamiar. Skoro pracownik nie podejmuje pracy — należy domniemywać, że nie chce pracować. Sprawa jest jasna...

„Opinia rady zakładowej" ma, czy nie ma charakteru wiążącego pracodawcę? Nie ma, opinie związkowe mają charakter konsultatywny. Pracodawca może się z konsultantami z rady zakładowej liczyć, ale nie musi.

Tak oto czekając na sędziego Sądu Najwyższego z pomocą własnej kieleckiej palestry, sami spróbowaliśmy sobie poradzić z nową ustawą. Radzę wprost ze źródła: „Kodeks pracy oraz przepisy wprowadzające". Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1974. Nakład 240 tys., cena 10 zł.

WŁADYSŁAW GRZESZCZYK

Moje odkrycia

Jeden trafia na wrota, drugi na dziurę w płocie.

Aby znaleźć igłę w stogu, trzeba odrzucić siano.

Raz wyciągniętego trzeba stale pchać.

Za otwartymi drzwiami najłatwiej o zamknięte.

Żeby dobrze lądować, trzeba się najpierw nieźle wzbić.

Poszedł na ustępstwa i dotychczas nie powrócił.

Najtrudniej zgrzytać ostatnim zębem.

Nie pomoże i podnieta, gdy opału brak.

Dziurawej sakwy zawsze nie ma za co załatać.

Wiarą we własne nogi nie oznacza wiary w siebie.

Puch marny też może być kulą u nogi.

Zwykle na tym najwięcej tracimy, czegośmy nigdy nie mieli.

Kto się boi dmuchać, musi poprzestać na plewach.

z notatnika oficera śledczego

ŚMIERĆ w pokoju nr 10

Dariusz Markowski

Przyjechali swoim samochodem 10 kwietnia ubiegłego roku kilka dni przed Świętami Wielkanocnymi. Dostali klucze od pokoi zarezerwowanych na I piętrze domu wczasowego „Wierna" w Bocheńcu. Hanna R., wdowa lat 27, przyjechała tutaj z Warszawy ze swoją 8-letnią córeczką Laurą, Wojciechem R. i jego synem, 7-letnim Michałem. 16 kwietnia zaraz po śniadaniu Hanna R., jej przyjaciel oraz Laura i Michał pojechali zwiedzić jaskinię „Raj". Wrócili po kilku godzinach, zjedli obiad. Hanna grała później w świetlicy w karty. O godz. 15 zmęczona trochę przedpołudniową wycieczką R. zabrała Laurę do pokoju i położyła się spać. Obudziła się kilka minut po 18, ubrała się, kazała Laurze umyć ręce i obie zeszły do stołówki. Siadły przy stoliku, gdzie nieco wcześniej zajęli miejsca Wojciech R. i jego syn Michał. Po kolacji wszyscy czworo poszli do świetlicy, gdzie odbywały się rozgrywki ping-ponga i turniej szachowy. Wspólnie obserwowali grę do godziny 19.15. O tej porze Laura i Michał poszli oglądać w telewizji „Dobranoc". Wrócili po kilku minutach i przebywali ze swoimi rodzicami do 20.30. Gdy o tej porze jej matka, Wojciech R. i jego syn poszli do sali telewizyjnej oglądać film, Laura bawiła się w towarzystwie trzech starszych dziewcząt. Hanna R. widziała ją po raz ostatni, gdy dziewczynka przyszła prosić o klucz do pokoju. Chciała pić. Matka uprzedziła ją, że w pokoju nie ma żadnego płynu i radziła, żeby Laura wzięła sobie pomarańczę. Dziewczynka poszła na górę. Kilka minut później, po skończonym programie telewizyjnym do pokoju udała się Hanna R. Ale drzwi pod numerem 14 były zamknięte. Przeszukano cały ośrodek i teren wokół obiektu — las i zarośla wzdłuż rzeki. Na próżno. Laura zniknęła bez śladu. Dopiero, gdy po jakimś czasie, ktoś przypadkowo otworzył drzwi pokoju nr 10 poszukującym dziewczynki rzucił się w oczy straszliwy widok: na tapczanie pod ścianą leżały do połowy obnażone zwłoki Laury.

Jako jedna z pierwszych podbiegła do niej Stanisława W., lekarz, mieszkanka stolicy, która również przyjechała do Bocheńca z mężem i synem na kilkudniowy wypoczynek. Niestety, na pomoc było już za późno. Laura nie żyła. Nie ulegało wątpliwości, że w domu wczasowym „Wierna" dokonano morderstwa.

O wstrząsającej zbrodni zawiadomiono milicję. Ekipa dochodzeniowo-śledcza dokonała wkrótce wstępnych czynności. I już wtedy sprawca morderstwa był znany. Wprawdzie krył się jeszcze za niezidentyfikowanymi odciskami palców, włosami pozostawionymi na kocu i ubraniu swojej ofiary, śladami obuwia, ale to już wystarczyło. Było tylko kwestią czasu, aby w zakładzie kryminalistyki orzeczono w sposób nie budzący wątpliwości, że ślady palców należą do konkretnej osoby. Ale morderca zostawił na miejscu przestępstwa jeszcze inne dowody. Laura została uduszona sznurem uciętym od lamki nocnej stojącej na stoliku pod oknem. Precyzyjne badanie i w tym przypadku mogło wskazać zabójcę. W aktach sprawy znajduje się ekspertyza wykonana w Zakładzie Kryminalistyki KG MO. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że przewód lampki nocnej ucięto obcinaczem do paznokci. Wskazano konkretny tego rodzaju przyrząd. Jednak koronnym dowodem w procesie będzie krzyżyk z kamienia znaleziony na tapczanie pod ofiarą. Tego rodzaju maskotki czy ozdoby nie należą do powszechnie noszonych. A wiele osób prze-

bywających w kwietniu ubiegłego roku w ośrodku w Bocheńcu widziało ten przedmiot na szyi Jacka W. Skąd więc krzyżyk znalazł się na miejscu zbrodni pod ciałem Laury?

Zachowanie Jacka od początku budziło podejrzenia. Chłopak zniknął wraz z Laurą. Ostatni raz widziano ich oboje, gdy wchodzili na piętro domu wypoczynkowego. Później, gdy szukano dziewczynki, zauważono, że nie ma również Jacka. Chłopak zjawił się dopiero po kilku minutach. Był, jak zeznają świadkowie, zdenerwowany, a na twarzy zauważono u niego świeże ślady zadrapań. Zdesperowana Hanna R. krzyknęła wtedy:

— To ty zabiłeś moją córkę!

— Czego pani chce ode mnie — wymamrotał W.

Matka zabrała go na górę do pokoju.

5 maja 1974 roku Jacek W. skończył 17 lat. Był uczniem jednego z warszawskich liceów. Według relacji rodziców w początkowym okresie Jacek nie sprawiał im żadnych kłopotów — dziecko zaczęło siadać w 8 miesiącu życia, chodziło i mówiło, gdy miało półtora roku. Od 3 roku życia uczęszczał do przedszkola. Robił tutaj zadziwiające postępy. Szybko uczył się czytać i pisać. Spontanicznie uczył się wierszyków. Trudności wychowawcze zaczęły się nieco później. W V klasie Jacek miał obniżoną ocenę ze sprawowania. W szkole średniej powtarzał rok.

— Stosowałem wobec Jacka surowe kary. Był bity za kiepskie oceny — zeznaje ojciec. — Chłopak nie lubił telewizji, natomiast był zapalonym kinomanem. W ostatnich miesiącach obejrzał kilka filmów, które zostały uznane przez krytyków za makabryczne.

Jaki film można byłoby nakręcić na kanwie realiów tragedii, która rozegrała się w Bocheńcu?

Wspomnieliśmy już, że Jacka W. widziano wieczorem 16 kwietnia, gdy szedł za Laurą schodami prowadzącymi na I piętro. Chłopak zaczął z nią rozmawiać. Stali chwilę na korytarzu, a później weszli do niezamieszkałego pokoju pod numerem 10. Zamknęli drzwi, zgasili światło, siedli na tapczanie, rozmawiali. Laura opowiadała o swoich koleżankach ze szkoły.

Kim był dla tej ośmioletniej dziewczynki, dziecka przecież jeszcze, Jacek W., wyrośnięty młodzieniec z kręconymi włosami w ciemnych okularach? Jak czuła się w jego obecności, przy zamkniętych drzwiach i zgaszonym świetle? Było to jej pierwsze spotkanie z mężczyzną w tak niezwykłej scenerii. Pomyślała w tej chwili, że jest już dorosłą kobietą i prowadzi poważną rozmowę. Jak Staś i Nel z tego filmu...

I nagle... O Boże, Jacek! Tak nie można!

Krzyczała, gdy brutalnie rzucił się na nią i jak zwierzę szarpał jej ubranie.

— Nie chcę, ratunku!...

Ktoś usłyszał jej głos, ktoś dobijał się do drzwi. Chciała krzyknąć jeszcze raz. Wtedy Jacek uderzył ją butem w głowę. Ale miała siłę krzyknąć jeszcze raz. Chłopak zakneblował jej wtedy usta kocem, a na szyi zaciągnął pętlę z przewodu od lampki. Później wymknął się z pokoju i skrył się w krzakach. A gdy po kilku minutach cały dom szukał Laury, Jacek W., z trudem opanowując zdenerwowanie, wszedł do holu i oświadczył, że szukał właśnie na dworze zgubionego klucza.

— Na tematy obojętne wypowiada się dość obszernie, natomiast bardzo zdawkowo mówi o własnych przeżyciach — piszą o nim w opinii psychiatrzy. Zachowuje dużą ostrożność przy omawianiu drażliwych tematów. Jest wtedy czujny i napięty. Nie przejawia żadnych wzruszeń.

Końcowy wywód wyżej cytowanego dokumentu brzmi: „Podejrzany miał w chwili zarzucanego mu czynu zdolność do rozpoznania jego znaczenia przy ograniczonej w stopniu znacznym zdolności do pokierowania swoim postępowaniem".

Sprawa Jacka W. będzie niebawem przedmiotem rozpoznania sądowego.

DARIUSZ MARKOWSKI

fot. A. Pęczalski

KIELCE w pieśni ludowej

Zygmunt W. Pyzik

Turysta wędrujący dziś przez nasz region daremnie by natężał swe ucho ciekawie, żeby usłyszeć jakiś ludowy zaśpiew dolatujący z pól czy obejść wiejskich. Współczesna wieś bowiem, nie tylko kielecka, świętokrzyska, przeważnie bigbitem stoi, lub inną muzyką zgoła nie swojskiego pomysłu.

Zmieniają się czasy — odwieczna to zresztą cecha — a jednym z wyrazów owej przemiany lat ostatnich jest naturalne zamieranie folkloru. A jeszcze nie tak dawno temu, w czasach Kolberga (1814—1890) i później w międzywojennym dwudziestoleciu, czy nawet już w pierwszych latach po ostatniej wojnie światowej, śpiew ludowy był bardzo częsty na wsi kieleckiej.

Z tamtych to i owych lat tkwi jeszcze w żywej wciąż pamięci starszego pokolenia wiejskiego niejedna pieśń ludowa, która w pewnych okolicznościach, jakby odżywa i jest czasem śpiewana: podczas uroczystości domowych, na chrzcinach, weselu, a także w czasie ludowego festynu.

Istnieją konstruktywne próby podtrzymania żywego folkloru. Działają gdzieniegdzie kapele lub zespoły śpiewacze na wsi, wspomagane subsydiami wydziałów kultury, lecz mimo to liczba ich przejawia tendencję spadkową.

Już od dawna zdawano sobie sprawę ze zmierzchu muzyki ludowej. Świadomość tego nieuchronnego losu twórczości gminnej skłoniła niejednego badacza do poświęcenia się pracy nad dokumentowaniem folkloru. Największego dzieła dokonał etnograf i muzykolog, Oskar Kolberg z Przysuchy, który obszedł był wszystkie regiony Polski i spisał teksty i melodie kilkudziesięciu tysięcy pieśni ludu, które następnie opublikował drukiem.

Z samej tylko Kielecczyzny zebrał ponad dwa tysiące pieśni, które wypełniły pięć tomów redagowanego przezeń „Ludu". Oczywiście pracę Kolberga kontynuowali późniejsi badacze.

W 1938 roku Stanisław Suchorowski wydał w Kielcach „Wesele Świętokrzyskie" (widowisko obrzędowe w 5 odsłonach) zawierające 63 melodie z tekstami literackimi — owoc całorocznej pracy zbieraczej od Małogoszcza po Nową Słupię.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Muzycznego ukazał się w druku pokaźnych rozmiarów tom „Pieśni pracy ludu kieleckiego" z 85 pieśniami zebranymi i opracowanymi przez Jana Chorosińskiego. Ponadto pieśni na Kielecczyźnie zbierali Jadwiga i Marian Sobiescy z Instytutu Sztuki PAN w Warszawie.

Pewien dorobek w tym względzie ma też Kielecki Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i Dział Etnografii Muzeum Świętokrzyskiego, które w latach pięćdziesiątych podjęły prace nad dokumentacją pieśni ludowych naszego regionu, a to dzięki inicjatywie nieżyjącego już ówczesnego posła na Sejm i zarazem prezesa PTL, Łukasza Kumora oraz mgr Aleksandry Dobrowolskiej, kustosza kieleckiego muzeum. Z ich to zachęty niżej podpisany zanotował z posłuchu około sto pieśni od śpiewaczek ludowych: **E. Kotowej, J. Krzosowej, A. Michalskiej i K. Okulskiej z Bielin, M. Kopaczowej z Huty Podłysicy, J. Dudkowej z Kakonina oraz F. Gajdowej i H. Szelestowej z Dębskiej Woli.** Część tych pieśni została następnie opublikowana w jednym z numerów miesięcznika „Ziemia Kielecka" (4 pieśni), na łamach „Rocznika Muzeum Świętokrzyskiego" (t. 1: 1963; 30 pieśni) i w „Biuletynie — Język Polski" (R. 1967, z. 3—4; 9 pieśni).

Spośród tych dość licznych, jak wyżej wykazano, pieśni, które zdołano utrwalić w zapisie nutowym, by zapobiec ich pójściu w zapomnienie, wybraliśmy kilka, co wzmiankują o mieście Kielcach. Nie jest ich dużo, zaledwie sześć:

I. W KRAKOWIEM SIĘ URODZIŁA

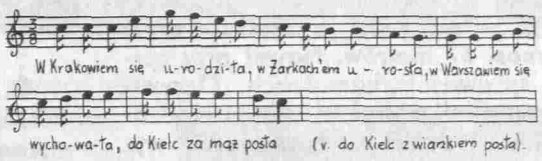

2. Bida moja była, bida
   w mojim młodym wieku,
   zem w niejednym się kochała
   światowym człowieku.
3. Temu przysło maserować,
   a mnie popłakiwać.
   Ociec, matka, wszyścy ludzie
   na mnie instygować.
4. To za ojca, to za matkę,
   to za dziadka, to za babkę,
   to za wszyćkich przyjacieli,
   pomódlmy się przy niedzieli.

(O. Kolberg, „Lud", Serya XIX, Kieleckie, cz. 2, Kraków 1886, s. 117).

II. A KADYZ TO

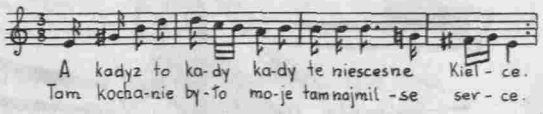

2. Kielce, Kielce, moje Kielce,
   Kielce murowane,
   oj nie jeden tam zapłace,
   kto sie tam dostanie.
3. Da i miała-ć ja kochanie,
   utopiłam w studni,
   oj a teraz pokutuję,
   j'aze izba dudni.

(O. Kolberg, Serya XIX, Kieleckie, cz. 2, Kraków 1886, s. 58).

III. W KIELCACH

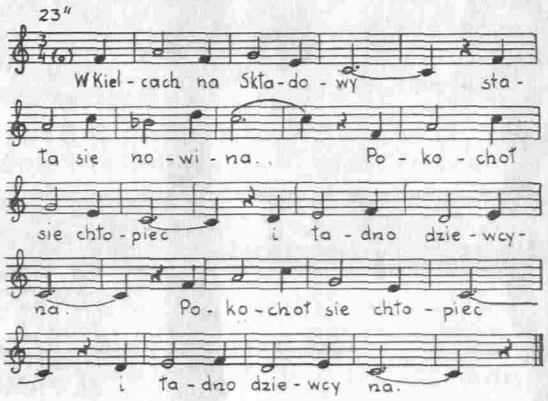

2. Jak sie pokochali, o mój mocny Boze,
   (:Jedno przez drugiego, obejść się nie moze:)
3. Pośli na spacerkę, spacerka im miła.
   (:Patrzą na zegarek, dziewiota godzina:)
4. Dziewiota godzina na zegarze biela.
   (:Teraz mie odprowadź, ma dziewcyno miła:)
5. Nie odprowadze cie, bo nie bede twojo.
   (:Rodzice mi mówią, ze nie bede twojo:)
6. Jak mojom nie bedzies, nikomu cie nie dom.
   (:Dzisioj cie zabije, jutro cie pochowom:)
7. Jak mie ty zabijes, nie wielko różnica.
   (:To mie pochowają, tobie subienica:)
8. To mie bedom dzwonić w kościele dzwonami.
   (:Tobie bedom dzwonić u rąk kajdanami:).

(Z. Pyzik, Pieśni ludowe z Łysogór, „Rocznik Muzeum Świętokrzyskiego", t. 1: 1963, s. 262).

IV. KIELCE

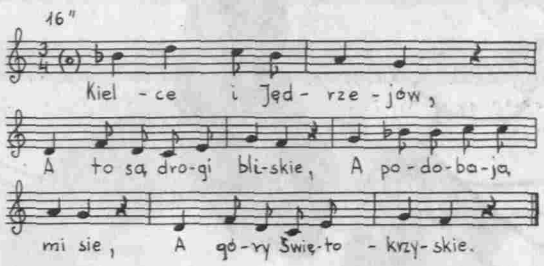

(Z. Pyzik, Pieśni ludowe z Łysogór, „Rocznik Muzeum Świętokrzyskiego", t. 1, s. 258).

V. OJ, NI MA TO JAK SIANO

2. Oj, po tym górskim sianie krowy mliko dajo.
   Robio z niego masło i w Kielcach sprzedajo.
3. Oj, trzeba siano skosić, co trzoda nie zjadła,
   i kuńcyne nasinno, zeby nom nie spadła.
4. Oj, cym by sie zasioło, da, w polu, w jecmieniu,
   a nom strowy trzeba zimo i jesienio.

(J. Chorosiski, Pieśni pracy ludu kieleckiego PWM, Kraków 1955, s. 133).

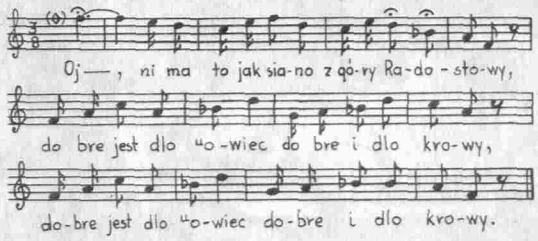

VI. MOJA CUPRYNECKA

1. Moja cuprynecka jasnego promienia,
   będzie óna lezeć w Kielcach na kamieniach.
2. W Kielcach na kamieniach, w Warsawie na Pradze,
   płace mnie dziewcyna, cóz jà i poradze?
3. Nie płacą mnie dzieci, bom ich jesce nie miał,
   ty mnie, Maryś, nie płac, bom jesce nie zginął.

(O. Kolberg, „Lud", Serya XIX, Kieleckie, cz. 2, Kraków 1886, s. 159. Uwaga: pieśń tę Kolberg zamieścił jako pierwszą w dziale „Piosenki wojackie", bez tekstu nutowego).

Warto w zakończeniu nadmienić, iż wzmianki o miastach i w ogóle temat miasta w ludowej twórczości pieśniarskiej nie należy do często spotykanych. A już raczej do wyjątku należy zaliczyć pieśń, w której tekście występuje takie nagromadzenie nazw miejskich, jakie spotykamy w jednej z kolbergowskich pieśni, ujętej w formę tryskającego dowcipem dialogu i śpiewanej na melodię znanego krakowiaka:

Ona: „Byłam w jarmak w Jędrzejowie,
na odpuście zaś w Miechowie,
W Księdzu mam ciotunię, (w Księdzu = w Książu)
w Słomnikach babunię,
I Kraków widziałam,
jak na górze stałam".

On: „Mam dwie panny w Mianowicach
i dwie dziewki w Cięgowicach
w Księdzu u szynkarza,
córka mnie poważa;
ławnik z Wodzisławia
do siostry namawia".

(O. Kolberg, „Lud", Kieleckie, Kraków 1886, s. 3—4, zwrotka 12 i 17).

Jak stwierdza wybitny etnograf J. Bystroń, każde miasto miało dla mieszkańców wsi urok swoisty i potężną moc przyciągającą, co jest niewątpliwie trafnym spostrzeżeniem nieżyjącego już Profesora. Dlatego dziwi nieco fakt, że z ogromnej ilości pieśni ludowych Kielecczyzny tylko 6 opiewa nasze miasto, a o innych miastach równie mało w pieśniach. Łatwo jednak zrozumieć przyczynę tego zjawiska. Człowiek wypowiada się najchętniej o sprawach bliskich mu i codziennych. Podobnie postępuje, gdy za formę wypowiedzi obiera pieśń lub inny gatunek twórczości artystycznej. Stąd w pieśniach ludowych stwierdza się dominację tematyki wiejskiej. Dla twórcy ludowego inne wątki zawsze były mniej ważne od tematów ściśle wiejskich, dlatego podejmował je stosunkowo rzadko.

O POSIADACZOM ROWERÓW i MOTOROWERÓW PRZYPOMINAMY: dopiero w wieku 10 lat, po uzyskaniu „Karty rowerzysty" można wyruszyć rowerem samodzielnie. Prowadzenie motoroweru dozwolone jest od lat 13.

Karta rowerzysty jest waszym pierwszym prawem jazdy, aby ją otrzymać należy wykazać się znajomością przepisów ruchu. Ale nie chodzi o samą znajomość przepisów ruchu i znaków drogowych lecz o stosowanie się do ich nakazów. A ponadto:

● Jadąc rowerem drogą publiczną zapomnij o wyścigach z kolegami. Po to rower ma kierownicę, żeby na niej trzymać ręce, i tak kierować pojazdem by nie wyczyniał on na drodze różnych harców. Nie czepiaj się nigdy ciężarówek, ani innych pojazdów. Tak reguluj szybkość twego roweru, żebyś mógł w każdej chwili bezpiecznie zatrzymać rower. Podczas deszczu, mgły lub na śliskiej nawierzchni należy jechać z umiarkowaną prędkością, jak najbliżej prawej krawędzi jezdni.

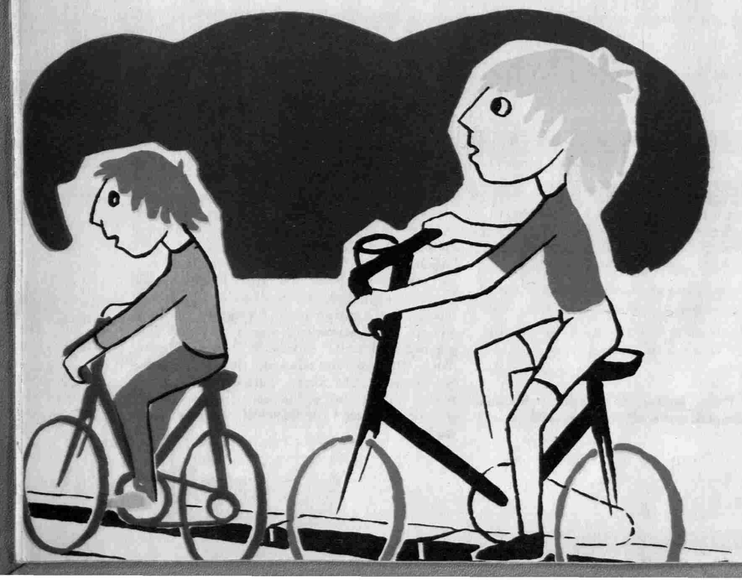

Wydział Ruchu Drogowego KW MO, PZU przypominają wszystkim zarówno pieszym, jak i kierowcom; dorosłym i młodzieży, że oprócz praw jakimi cieszą się w naszym kraju wszyscy użytkownicy dróg i ulic – spoczywają na nich także pewne obowiązki. Wynikają one z przepisów drogowych, obowiązujących nas wszystkich. Przestrzeganie tych przepisów stwarza dla nas wszystkich sprzyjające warunki w jakich może odbywać się bezpieczny ruch drogowy i uliczny.

PROSIMY WSZYSTKICH KIERUJĄCYCH POJAZDAMI SAMOCHODOWYMI O WIĘKSZĄ OSTROŻNOŚĆ W NASTĘPUJĄCYCH PRZYPADKACH:

● Na skrzyżowaniach regulowanych sygnalizacją świetlną: niekiedy „żółty" sygnał (przed „zielonym" zezwalającym wam na kontynuowanie jazdy) zastaje pieszych na środku jezdni

Starajcie się ich nie pospieszać. Pozwólcie, by bezpiecznie dotarli na chodnik.

PIESZYCH NATOMIAST (bez względu na wiek) ZACHĘCAMY DO NIESIENIA POMOCY KIERUJĄCYM, POPRZEZ NIE TYLKO STOSOWANIE SIĘ DO OGÓLNYCH PRZEPISÓW RUCHU, LECZ TAKŻE PAMIĘTANIA O TYM, ŻE PO ZAPADNIĘCIU ZMROKU KIEROWCY – JAK KAŻDY Z NAS – MAJĄ UTRUDNIONE WIDZENIE PRZESZKÓD NA DRODZE ORAZ OSÓB PORUSZAJĄCYCH SIĘ DROGĄ. Można im pomóc przez ubieranie się w jasną odzież zwierzchnią.

Piesi powinni także pamiętać, że kierowcy, aby zatrzymać swój pojazd (nawet na suchej jezdni) jadący z szybkością 50 km na godz. muszą mieć 24 metry wolnej drogi. Droga potrzebna do zatrzymania samochodu jadącego z szybkością 80 km na godz. jest jeszcze dłuższa i wynosi 57 metrów. Nawet przy całkowicie sprawnych hamulcach. Oczywiście, w przypadku mokrej albo oblodzonej nawierzchni droga hamowania wydłuża się jeszcze bardziej.

Dlatego kierowcy zobowiązani są do zmniejszenia szybkości w większych i mniejszych skupiskach ludzkich do 50 km na godz. i wzmożonej ostrożności.

Piesi natomiast nie mogą pod żadnym pozorem wbiegać lub wchodzić na jezdnię przed jadącym samochodem. Nie wynaleziono bowiem jeszcze hamulców umożliwiających zatrzymywanie samochodów w miejscu. O tym trzeba pamiętać.

● Zimą organizujcie zabawy na śniegu lub sztucznym lodowisku daleko od dróg publicznych, tak, aby sanki, narty lub łyżwy nie poniosły was wprost pod jadący drogą samochód.

Uwaga! Dzieci do lat 7 muszą przebywać stale pod opieką dorosłych.

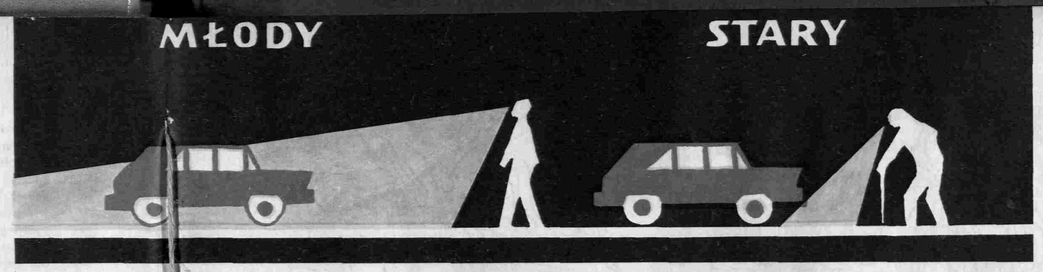

● Uważajcie na osoby starsze. Podeszły wiek charakteryzuje się nie tylko mniejszą znacznie sprawnością fizyczną, pogorszeniem słuchu, lecz także: obniżeniem ostrości wzroku, ślepotą zmierzchową, ograniczeniem pola widzenia itp.

Zwężenie pola widzenia wpływa ujemnie na odległość widzenia u osób starszych, która skraca się niekiedy do 10 m.

Konkludując: prosimy kierowców o zachowanie szczególnej ostrożności wobec osób w podeszłym wieku.

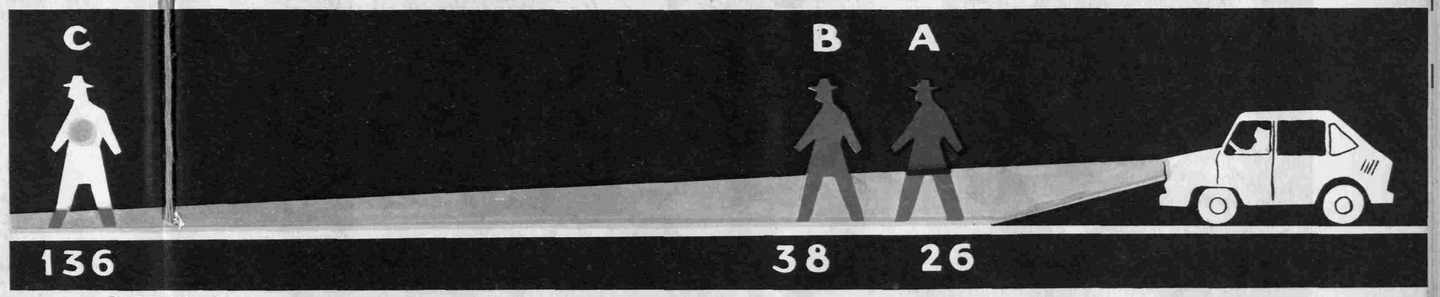

PIESZY C – ma na sobie elementy odblaskowe i dzięki temu kierowca zauważy go z odległości około 136 m.

PIESZY B – ma jasne ubranie i kierowca zauważy go z odległości 38 m.

PIESZY A – ma ciemne ubranie i kierowca zauważy go dopiero z odległości 26 m.

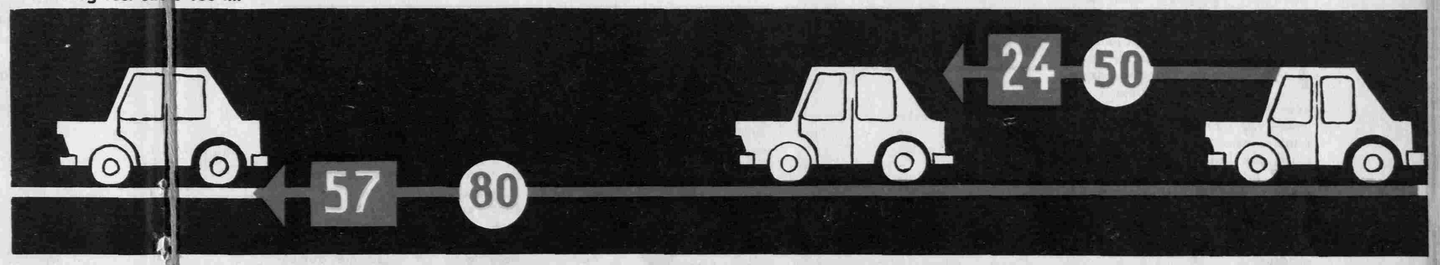

● **APELUJEMY DO UŻYTKOWNIKÓW POJAZDÓW KONNYCH** nie tylko o przestrzeganie zasad ruchu drogowego lecz także o właściwe wyposażenie pojazdów konnych umożliwiające poruszanie się po drogach publicznych po zapadnięciu zmroku.

Lampy powinny być przymocowane do wozu w taki sposób by cały czas były widoczne dla innych użytkowników drogi (sposób mocowania pokazaliśmy na rysunkach).

Dwa światła białe widoczne z przodu, a ponadto 2 światła odblaskowe białe.

Dwa światła czerwone widoczne z tyłu oraz co najmniej 2 światła odblaskowe, czerwone.

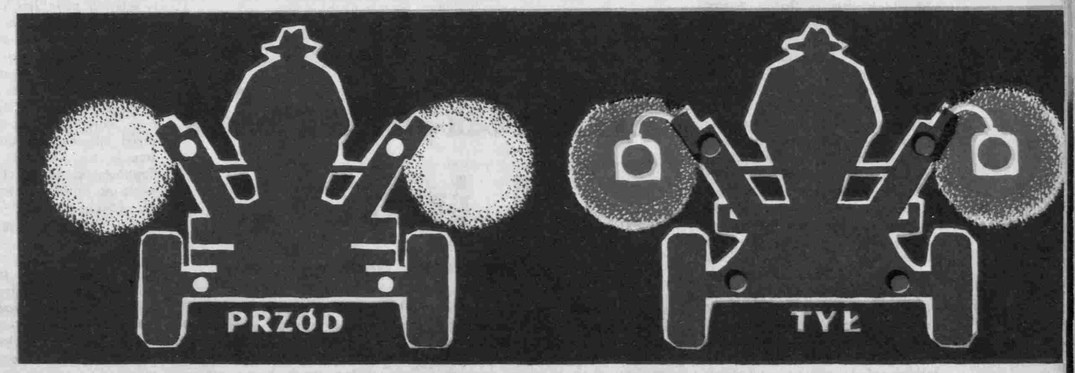

● **ODDZIELNYM PROBLEMEM NARUSZAJĄCYM PORZĄDEK NA JEZDNI JEST ALKOHOL.**

Musimy powiedzieć szczerze: nie ma miejsca na naszych drogach dla pijanych.

Wystarczy wspomnieć, że z powodu nietrzeźwości kierowców i pieszych w samym tylko 1971 roku zdarzyło się 5.872 wypadki drogowe, w których straciły życie 652 osoby, a 5.349 zostało rannych. Za usiłowanie prowadzenia pojazdów po pijanemu zatrzymano ponad 35 tys. praw jazdy.

Z OKAZJI NOWEGO ROKU życzymy wszystkim użytkownikom dróg – pieszym i kierowcom – zgody z przepisami drogowymi oraz pomyślności na drogach, ulicach i skrzyżowaniach.

WYDZIAŁ RUCHU DROGOWEGO KW MO
oraz ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI PZU
w Kielcach

rys. H. Papierniak

twórcy ludowi

Rokita, Purski i inni

Franciszek Noga

Rędocin, młody stosunkowo ośrodek garncarski oraz sąsiednia Sobótka, dzięki Andrzejowi Rokicie i Janowi Purskiemu, stały się w latach 1949–1960 znane w kraju na równi z takimi ośrodkami o starych tradycjach, jak Iłża, Denków i Chałupki. W latach pięćdziesiątych na wielu konkursach oraz wystawach krajowych i zagranicznych wyroby tych mistrzów wzbudzały ogromne zainteresowanie i często je nagradzano.

Purski otrzymał nagrody za pomysły zdobnicze, a Rokita (zmarł w r. 1962) za oryginalne foceny.

Wprowadzony przez Purskiego sposób zdobienia i charakter form Andrzeja Rokity, przejęli synowie tego ostatniego, Wacław i Henryk. Wacław Rokita urodził się w 1922 roku. Garncarstwa uczył się przy ojcu w jego dużej garncarni, gdzie też zatrudnieni byli czeladnicy – garncarze z innych ośrodków. Garncarnia Rokity prosperuje dobrze i popyt na wyrabiane naczynia był duży. Dlatego też brak było czasu na przystrajanie naczyń. Mimo to Andrzej Rokita umiał znaleźć czas, ażeby robić inaczej niż wszyscy, aby różniły się jego wyroby od tego, co nie było wyrabiane w jego garncarni. Nieraz przy zwykłej doniczce ugniótł dokoła palcami, lub naciął nożem krawędź, czasem dzban pięknie zarysował poziomymi liniami, a często też jodełkami. Rzadziej lepił kapliczki lub kropielniczki.

Wacławowi zdobienie przypadło do smaku, a widując bardzo rzadko ojca zajmującego się zdobnictwem, już w młodości przyrzekł sobie, że kiedy zostanie samodzielnym garncarzem, wszystkie swoje naczynia będzie tak zdobił, żeby były ładniejsze niż u innych garncarzy.

Potem, kiedy w 1939 roku zasiadł za kołem garncarskim w warsztacie ojca – niewiele czasu mógł poświęcić zdobnictwu. I nawet po ośmiu latach, kiedy już miał własny warsztat, przede wszystkim musiał dbać o wyrób naczyń, na które miał odbiorców.

Wacław Rokita długo wyrabiał w swoim warsztacie same przedmioty użytku domowego i sprzedawał je kupcom-hurtownikom. Dopiero w 1950 roku, wraz z innymi garncarzami, został członkiem Spółdzielni „Przyszłość" w Końskich. Mimo że była to spółdzielnia cepeliowska, zamówień na ceramikę artystyczną prawie nie było. Dopiero w 1955 roku, kiedy zjednoczono garncarzy w iłżeckiej spółdzielni „Chałupnik", zaczęto zamawiać u niego zdobione formy. Od tego dopiero czasu wykonuje Rokita ozdobne dzbanki, przystrojone dwojaki, lichtarze pojedyncze i wieloświecowe. Zaczął też robić świątki i figurki babek kieleckich. Najwięcej jednak robi dzbanów ozdobnych. Stroi je tak, jak to dawniej robił Purski, ale komponuje inaczej. Cały ornament pasowy osadza na płaszczyźnie między nasadą a największym wybrzuszeniem dzbana. Ornament ma wzór linii falistych, jodełki, półjodełki i kropki. Po wypaleniu, we wszystkich tych żłobieniach pozostaje szkliwo innej barwy niż na całym dzbanku. W warsztacie pomaga mu żona, która jest wnuczką Jana Kwapisza, założyciela rędocińskiego ośrodka garncarskiego.

Drugim kontynuatorem stylu Jana Purskiego i Andrzeja Rokity jest Henryk, brat Wacława. Odziedziczył on po ojcu garncarnię Krawczyńskiego. Jako garncarz zaczął pracować w 1942 roku. Miał wówczas 12 lat, a już toczył dzbanki półlitrowe i kwaterkowe na barszcz oraz doniczki. Od 1950 roku robił z ojcem ceramikę dla spółdzielni „Przyszłość" w Końskich, chociaż nie był jej członkiem. Robił dla ojca. Członkiem spółdzielni został dopiero w 1955 roku, ale już w Iłży.

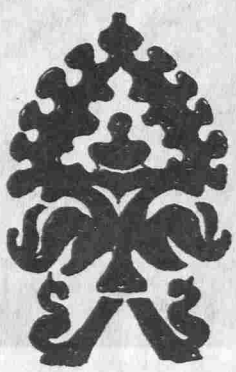

Henryk Rokita prace swoje zaczął wystawiać od 1953 r. Brał udział w wielu wystawach. Mimo młodego wieku otrzymał też wiele nagród. Najbardziej znane z jego prac są barany, które po ulepieniu pokrywa „wełną", to jest nitkami z gliny, wyciskanymi przez rzadkie płótno. Lepi też gwiazdki i ptaszki, tworzy figurki o tematyce religijnej, cieszące się uznaniem zbieraczy – znawców ceramiki.

Rokita toczy na kole garncarskim małe formy. W Rędocinie dużych form ceramicznych nie wyrabia się – tutejsza glina jest ciężka.

Kilka kilometrów od Rędocina, w Odrowążu, także zachowały się tradycje garncarskie. Najznakomitszym z mistrzów jest tu Stanisław Seweryński. Prowadzi warsztat wraz ze swoją żoną Marią, w bardzo skromnych warunkach, bowiem spaloną przed kilkoma laty garncarnię zastępuje mu niewielka część izby. Ograniczona powierzchnia nie pozwala na dużą produkcję, nie wpływa jednak na jakość i piękno wyrobów. U Seweryńskiego, mimo podeszłego wieku, nie wygasa zawodowa inwencja; zaczął niedawno lepić, ujęte w ramy ściętego sześciokąta, charakterystyczne twarze ludzkie, takie na wzór słynnych „głów wawelskich". Interesuje się rzeźbą, godziny wolne od pracy najchętniej spędza przed telewizorem.

Wyroby mistrzów z Rędocina i Odrowąża zna cała Polska, mało tego, dzięki urządzanym wystawom gliniane wyroby są także towarem eksportowym. Powstały przed kilku laty przy koneckim PDK Klub Twórców Ludowych, w którym zrzeszeni są garncarze, tkacze, hafciarki i rzeźbiarze, jest pięknym – choć, niestety, rzadko spotykanym – przykładem opieki nad tymi ludźmi. W Koneckiem udowodniono, że opieka ta nie jest trudna do zrealizowania. Klub Twórców Ludowych przyjął bardzo ciekawy program pracy zmierzając do dalszej popularyzacji pięknej ludowej sztuki o bogatych tradycjach w tym rejonie Kielecczyzny.

Pręgierz na kółkach

Świętosław Krawczyński

Przechowywany w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Kielcach poszyt akt RGR 10714 zawiera dokumenty, z których można odtworzyć ciąg wydarzeń charakterystycznych dla wymiaru sprawiedliwości w Królestwie Polskim w dobie sprzed powstania listopadowego. Wieje od tych kart lodowatą biurokracją, aż ciarki przechodzą po skórze. Zwłaszcza, jeśli się pomyśli: — to tutaj, w Kielcach, się działo, tutaj, na placu Partyzantów, na placu Moniuszki, na Zamkowej...

W dniu 22 grudnia 1822 prokurator królewski przy Sądzie Kryminalnym dla Województw Krakowskiego i Sandomierskiego z siedzibą w Kielcach wystosował do Komisji Wojewódzkiej Krakowskiej z siedzibą w Kielcach pismo urzędowe w przedmiocie ofiar pieniężnych, jakie zdjęci litością prostaczkowie dawali złoczyńcom, wystawionym pod pręgierz w dni targowe na kieleckim rynku. Jak bowiem zameldował inspektor więzień, w czasie, gdy odbywali karę Jan Bartnicki i Maciej Słowicki, składka dla nich wyniosła 2 zł 12 gr. Prokuratorowi to się nie podobało, uważał przecież, że niewielka ta suma mogłaby być użyta na kupno żywności lub jakąś inną poprawę doli skazańców wbrew regulaminom, prosił więc Komisję Wojewódzką o rozważenia, na jakie cele przeznaczać jałmużny dla więźniów i jak to kontrolować. Po gruntownej analizie sprawy komisja zaleciła inspektorowi więzień, aby baczył pilnie na wszelkie tego rodzaju datki i przejmował je na potrzeby zakładów karnych, nie dopuszczając pod żadnym pozorem do ekspensów na rzecz „wystawianych" złoczyńców. Więzień winien jeść i dostawać tylko to, co przypisane prawem.

A zatem stosowano jeszcze w owym okresie w Kielcach takie drakońskie kary, jak pręgierz? Stosowano podobnie, jak w całej Europie, i to nierzadko. Przewidywał je uchwalony przez Sejm w dniu 16 kwietnia 1818 Kodeks Karzący dla Królestwa Polskiego jako zaostrzenie kary więzienia. Wykonywane były jednak w Kielcach inaczej, niż stanowił ów kodeks. Skazaniec stał po prostu na prowizorycznym rusztowaniu przed ratuszem, z tablicą zawieszoną u szyi, a ciekawi mogli z tej tablicy odczytywać, za co i w jakim wymiarze cierpi. Natomiast jak dowiadujemy się z pisma prezesa sądu, Wysiekierskiego, do Komisji Wojewódzkiej z dnia 22 czerwca 1821, tablicę taką należało umieszczać na słupie, który był właściwym pręgierzem (art. 36 kodeksu). Trzeba zatem zrobić taki słup, oczywiście, wpierw wybrawszy miejsce publiczne, gdzie ma być postawiony. Po otrzymaniu owego pisma Komisja zleciła Gierszowi, inżynierowi wojewódzkiemu, by wykonał projekt i „anszlag" (czyli kosztorys) instalacji pręgierza, a także podjęła decyzję, że to urządzenie będzie ruchome. W decyzji tej dopatruję się śladu kontrowersji pomiędzy tymi z grona tak zwanych czynników miarodajnych, którzy obstawali przy ścisłym przestrzeganiu przepisów prawnych, a tymi, którzy bronili rynku kieleckiego przed szpeceniem. Uznano bowiem, że jest to jedyne miejsce publiczne w mieście, ale również, że słup pręgierza, na stałe na nim zlokalizowany, nie odpowiadałby „celowi upięknienia miasta". Zresztą prawdopodobnie nie tylko względy na estetykę wywarły wpływ na umysły i uczucia obywateli Kielc, gdyż ustawodawstwo i praktyka karna Księstwa Warszawskiego, wzorująca się na Francji, nie znały pręgierza w formie tak ostrej, jak kodeks z roku 1818.

Znać to choćby z postępowania Giersza. Inżynier przewlekał robotę, póki nie wstrzymano mu wypłaty poborów za wrzesień 1822, by go do pośpiechu przynaglić, i nie zagrożono surowszymi represjami. Jego też pomysłem było zaopatrzenie pręgierza w kółka, by mógł jeździć sprzed „domu więzień" na Zamkowej, na rynek i z powrotem. O centralizacji zaś zarządu funduszami Królestwa i dyscyplinie finansowej świadczy dokument Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Skarbu z 21 kwietnia 1822 r. z podpisem Staszica w zastępstwie ministra, ustalający kosztorys inwestycji na kwotę 280 złp. Wspomnieć tu warto, że nie potraktowano pracy Giersza nad nią jako pracy zleconej. Z dzisiejszego punktu widzenia trochę to dziwne.

Tymczasem pod jesień 1822 z korespondencji między władzami wyłania się kwestia poboczna, lecz istotna: — wedle art. 37 kodeksu z karą pręgierza łączy się nierozerwalnie piętnowanie skazańca, a w Kielcach nie ma do tego narzędzia, jako też nie ma wykonawcy. Zalecono więc inspektorowi więzień, by z „funduszu ekstraordynaryjnego" sprawił odpowiednią cechę z żelaza. **„Cecha ta składać się będzie z 2-ch liter P.K. trzy cale wysokich".** Art. 37 kodeksu przepisywał, że piętno na złoczyńcy „na lewej łopatce literą P i początkową Sądu wyrok wykonującego wykonane być winno". Litera początkowa Sądu to K — czy jednak od Krakowa, czy od Kielc? A drugi szkopuł władz miejscowych: — „operacja ta tak pod względem zdrowia, jako też przystojności dopełnioną być powinna przez kwalifikowane do tego indywiduum, za jakie Komisja Wojewódzka kata uważa". Kata nie było, Komisja ta przeto „miała honor zapytać „Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych i Policji w Warszawie," czy prostemu oprawcy powierzoną być może (scil. operacja) lub też czy i skąd kata sprowadzić wypada oraz z jakiego funduszu i w jaki sposób wynagrodzonym być ma". Mnóstwo problemów nie do rozwiązania bez ingerencji władzy centralnej. Skądże to znamy? — pomyślałem, przygotowując te cytaty z akt...

Złoczyńcy w więzieniu czekali na rozstrzygnięcia, nie przeczuwając nawet, jak wysokie instancje nad ich losem głowy sobie łamią i ciesząc się co rano po przebudzeniu z całości swych pleców. W jesieni 1822 było ich ośmiu. Wydaje mi się jednak, że tych skazanych mimo odbycia kary pręgierza nie piętnowano. Wysuwam taki wniosek z braku korespondencji na ten temat w poszycie z tego czasu. A także z okoliczności, że jedyne sprawozdanie z tej okrutnej operacji ma datę z czerwca 1824 r., chociaż cecha do piętnowania była gotowa już 16 grudnia 1822 r. Znaleźli się zatem zapewne urzędnicy, którzy nieszczęśników bronili.

Szkoda, że zapodziały się rysunki Giersza, dołączone niegdyś do „anszlagu" pręgierza na kółkach. Z protokołu „rewizyjno-odbiorczego" jednak można mieć niejakie wyobrażenia o tej machinie. Robili ją 4 rzemieślnicy ze swych materiałów, przy czym kosztorys nie został ani o złotówkę przekroczony. Stelmach Jan Dudzik, wykonał za 60 złp. podwozie z 2 par kół, związanych osiami. Stolarz Franciszek Święcki (a może Niewieski?), za 100 złp. zrobił właściwy pręgierz, słup z drzewa na 4 „gradusach" (czyli stopniach), zapewne po to zaprojektowanych, by skazaniec mógł na nich stać, przy czym całość była wysoka na 6 łokci 17 cali. Kowal Ignacy (nazwisko nieczytelne) za 40 złp. użył okuć i śrub dla kół, dyszla, „postumentu" i przyrządu do składania słupa. Malarz, Karol Dunin-Wąsowicz, za 80 złp. pomalował pojazd na kolor „szaro-

STANISŁAW PIOTR GASZYŃSKI

* * *

(III nagroda na ogólnopolskim festiwalu poezji)

(Łódź, 24. V. 1974 r.).

Mój zdrowy, chłopski światopogląd
zbiegł nagle
w ślepą uliczkę naukowości. Postanowiłem
pozbierać myśli. Sprzątanie pokoju dało
większe efekty niż przegląd prasy.
Ale pomińmy środki.
Na szczęście udało się skleić sensowną
całość. Akurat w chwili, kiedy świat
wracał do kulistości. Była to ostatnia chwila
milczenia. Nadal jednak nie mam nic
na swoją obronę. Mój światopogląd
usłyszałem przez radio:

„Mróz zaskoczył ptaka, którego
trzeba było wyrąbywać z lodu".

kamienny" (wedle projektu Giersza miał być kolor czarny), umieszczając na 4 bocznych płaszczyznach słupa „znaki kar kryminalnych": — rózgi, taczki i okowy, miecz oraz szubienicę. Wniosek z tego, że hołdowano wówczas teorii, zwanej przez prawników teorią odstraszenia.

Wynika to wyraźnie z pisma Prokuratora Królewskiego z 30 października 1822 r., które jest świadectwem, że pręgierza tego używano. Prokurator bowiem wytknął Komisji Wojewódzkiej pewną nieprawidłowość przy wykonywaniu tej kary na podpalaczu Pawle Cisowskim. Przestępcy bowiem przyszyto do kołnierza, kurty czy sukmany powróz. Dodatek ten nie był zgodny z przepisem art. 55 kodeksu, który brzmiał, „iż ci zbrodniarze, co będąc już dawniej karanymi, następnie do więzienia warownego na całe życie skazani zostali, nosić mają do ubioru swego przyszyty powróz na szyi na znak, iż za dopuszczenie się jeszcze raz zbrodni śmierć ich czeka". Prokurator zarządził zdjęcie postronka z kołnierza Cisowskiego, gdyż był on skazany nie na dożywocie, lecz na 12 lat więzienia.

W czerwcu 1824 sporządzono relację urzędową z piętnowania Łukasza Książka, jakie odbyło się w dniu 30 maja tegoż roku. Nadzorca więzienia (prawdopodobnie to samo stanowisko, co dawniej inspektor więzień) sprowadził z powodu braku kata oprawcę (rakarza) z Radomia, gdyż tak zaleciły władze wojewódzkie. Nie dokonano jednak tego okrutnego zabiegu na rynku kieleckim, jeno na zarządzenie Prezesa Sądu na dziedzińcu zamkowym. Asystowali oficjalnie: sędzia Żytobicki, lekarz więzienny, chirurg, a także reprezentanci więźniów (po jednym z każdej celi). Byli także obecni funkcjonariusze Dozoru Więzień, Komendant Żandarmerii, Komendant Oddziału Czynnych Weteranów i strażnicy. Po egzekucji Łukasz Książek poszedł do szpitala więziennego, gdzie miano go troskliwie leczyć. Tak przynajmniej zapowiedział podpisany na dokumencie Nadzorca więzienia Ziębiński.

Czy odbyły się w ówczesnych Kielcach inne takie egzekucje? Nie ma na to świadectwa w aktach. Można tylko argumentować ex contratio, że najprawdopodobniej nie odbyły się, ponieważ, gdyby je przeprowadzano, znalazłyby odzwierciedlenie w dokumentach tak, jak ta właśnie, pierwsza. Z obfitej korespondencji, dotyczącej w ogóle piętnowania na tle przepisów Kodeksu z 1818 roku, można odczytać między wierszami niepokój i niesmak wielu urzędników tą sprawą zainteresowanych. Stanowcze są prawie tylko pisma Prezesa Sądu Sprawiedliwości Karzącej w Kielcach, Wysiekierskiego.

W roku 1842 Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchowych, Wydział Przemysłu i Kunsztów, Sekcja Poczt i Więzień (co za osobliwe mariaże różnych dziedzin życia społecznego!) zażądała od władz gubernialnych kieleckich wykazu przypadków piętnowania więźniów po roku 1832. Władze te odpowiedziały, że żadnego takiego przypadku nie stwierdzono. Kiedy zaniechano stawiania pod pręgierz, nie udało mi się ustalić. Skądinąd wiem, że także w kodeksie kar głównych i poprawczych z 1847 r., którym zastąpiono Kodeks Karzący z 1818 r., kara ta była przewidziana. Kiedy zaś znikł z Zamkowej pręgierz na kółkach? Jeśli gdzieś można by to odszukać, to chyba tylko w dawnych inwentarzach więziennych.

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI

fot. J. Buczkowski

wspomnienia

A kiedy ja zginę na miedzy...

Wacława Szczepańska

Ten pretensjonalny tytuł, to słowa piosenki, którą lubił i często śpiewał. I wyśpiewał sobie taką śmierć... Może było to przeczucie wrażliwej duszy? A miał ją bardzo wrażliwą i czułą na ludzką niedolę, na smutek bliźniego, na potrzebę ratunku wszystkich, a ojczyzny szczególnie, bez zastrzeżeń...

Uczył nas na tajnych kompletach. Był przedwojennym maturzystą, podharcmistrzem ZHP, działaczem młodzieżowym, człowiekiem pełnym zapału do pracy. Kiedy zabrakło kadry profesorskiej, wywożonej do obozów koncentracyjnych, uważał za swój obowiązek przekazać swą wiedzę młodszym. Uczył nas razem z Halą Brede, Czesią Janus, Wandą Grudzińską, Andrzejem Gierowskim i Kamilem Janiszewskim. Nie mieli wówczas tytułów magisterskich, ani doktorskich – jak dziś wielu z nich – mieli tylko matury, ale za cenzus był im ogrom zapału w tej trudnej i niebezpiecznej pracy.

Narażał się codziennymi dojazdami na rowerze z Dąbrowy z fałszywym dokumentem „Arbeitskarty".

Jaki był jeszcze? Czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie? Czy można przekazać piórem – choćby to nie moje, ale najlepsze pióro pisało – wyraz oczu, które są odbiciem duszy, jak się popularnie mawia. A więc są tak bardzo indywidualne, tak bardzo osobiste i niepowtarzalne, że nawet nie każdy film mógłby to wiernie przekazać? Jemu, niestety, filmu nie kręcono. Ani wtedy, kiedy wykładał, ani wówczas, kiedy jakby zażenowany, dzwonił do moich drzwi prosząc o przechowanie na jedną noc walizkowej maszyny do pisania. Ani wtedy, kiedy w majowe dni przywoził nam, spragnionym widoku szerokich pól i lasów zielonych, a zamkniętych murami miasta i tysiącami zakazów okupanta – liliowe bukiety bzów. I nie nakręciła żadna taśma filmowa jego śmierci, tylko ludzka pamięć ją utrwaliła.

... 4 czerwca 1943 roku. Wieś Dąbrowa pod Kielcami. Wczesny słoneczny poranek, zapach traw zroszonych łąk, mały bielony domek przy szosie. Turkot samochodów, zgrzyt hamulców, kolby karabinów otwierają drzwi... Papiery, pośpiesznie wrzucane do pieca, konspiracyjne, może i gazetki, opóźniają ucieczkę. Jednak przemyka się między kolbami żandarmów w sieni już – i ucieka na pole. Pędzi przed siebie, przez rzeczkę ocienioną drzewami, wspina się pod górkę, byle dopaść zbóż, szumiących bezpiecznym łanem schronienia. Strzały... Czerwień na zielonej miedzy...

Na kieleckim cmentarzu wojskowym, wśród wielu mogił jest grób z tabliczką:

STANISŁAW MIKOŁAJCZYK
podharcmistrz ZHP,
zginął mając lat 25
4. VI. 1943 r. we wsi Dąbrowa.

Co rok, w listopadowe dni dziewczęta w szarych mundurach ze Szkoły Podstawowej nr 10 wspinają się na wzgórze nad rzeczką w Dąbrowie, by w miejscu gdzie On zginął, złożyć kwiaty.

Kuźnia gwiazd

Elwira Watała

Tłum melomanów przed gmachem Teatru Wielkiego w Moskwie. Oczekują wyjścia Maji Plisieckiej, która przed chwilą oczarowywała ich w „Jeziorze Łabędzim" Piotra Czajkowskiego. Chcą jeszcze raz, tym razem z bliska zobaczyć wielką gwiazdę. Nagle z tłumu wyłania się rozentuzjazmowana dziewczyna, podbiega do Maji Plisieckiej i dotknąwszy jej rąk, mówi zdumiona:

— Pani ma ręce, nie skrzydła?

Reakcja dziewczyny ma swoje uzasadnienie. Gdy oglądamy ten niekończący się strumień ruchów rąk Maji Plisieckiej imitujących pływanie łabędzia, wydaje nam się, że to nie ręce, lecz jakieś fantastyczne skrzydła! W jaki sposób aktorka kieruje od ramion do dłoni widoczne impulsy — pozostanie jej tajemnicą. Wiemy natomiast, że owe ręce-fale stały się niemal symbolem tej tancerki.

„Nie sądzę, żeby na świecie istniała druga tancerka, która mogłaby dorównać Maji Plisieckiej. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić czaru, jaki się odczuwa patrząc na jej taniec" — pisał recenzent „France Soir" podczas występu Teatru Wielkiego w Paryżu, w ubiegłym roku.

A ile podobnych ocen usłyszały pod swoim adresem H. Ułanowa, M. Siemionowa, R. Struczkowa, N. Dudzińska, O. Lepieszyńska... Ale stop... gwiazdy baletu nie rodzą się na skinięcie czarodziejskiej różdżki. Zanim napiszą o nich dziesiątki książek i setki recenzji, czeka je żmudna, jednostajna praca, a nierzadko i gorzkie rozczarowanie.

100 osób przypada na jedno miejsce

— głosi statystyka o liczbie kandydatów starających się do szkoły baletowej przy Teatrze Wielkim. Zajrzyjmy do przestronnych, jasnych sal. Grupa siedmiolatków ćwiczy swoje pierwsze baletowe pas — raz, dwa, raz, dwa — „kaczęta sposobią się na łabędzie". Zanim jednak obrosną w piórka i ujrzą publiczność ze sceny prawdziwego teatru, w ciągu dziesięciu lat miliony razy będą powtarzać nudne „raz i dwa".

Przyjechali tu z różnych zakątków Związku Radzieckiego — z Kazachstanu, Armenii, Jakucji. Na ogół szybko przyzwyczajają się do nowego środowiska, choć niejeden przyszły Romeo początkowo popłakuje do poduszki, stęskniony za domownikami. Na zielonym trawniku przed dużym nowoczesnym gmachem ze szkła i aluminium, który na wiele lat stanie się dla pierwszoklasistów drugim domem, uroczyście wręczono im baletowe pantofelki.

Dziewiętnaście choreograficznych szkół

istnieje w ZSRR. Prawie każde duże miasto ma własny teatr baletu, a kadry dla nich przygotowują właśnie uczelnie tego typu. Kandydatów do tych szkół kierują również domy kultury posiadające swoich „laureatów" w choreograficznych kółkach. Selekcja na tym się nie kończy. Pedagodzy wiedzą, jaką ważną rolę w karierze aktorskiej odgrywają wrodzone predyspozycje. Może trochę dłuższe niż zwykle nogi, może bardziej giętkie ręce i jeszcze ta niewidoczna gracja, którą dostrzega tylko doświadczone oko choreografa. Chłopcy muszą również być silni i wysportowani, bowiem bezcielesna lekkość partnerek, którym oni pomagają fruwać w powietrzu, całkowicie jest zależna od ich fizycznej sprawności. Przyjętych do szkoły czeka osiem lat nauki, w ciągu których muszą opanować program szkoły średniej plus szereg specjalistycznych przedmiotów, oraz do znudzenia — ćwiczenia przy poręczy. Poziom nauczania w szkołach jest tak wysoki, że już w drugiej klasie maluchy śmiało uczestniczą w masowych scenach korde-baletu „stojąc na palcach". Elementy techniki tanecznej, które jeszcze dwadzieścia lat temu mogli opanować tylko nieliczni i zgoła uzdolnieni artyści, obecnie stały się ogólnie dostępne.

„Taneczne umiejętności dzisiejszej szeregowej aktorki baletu równają się mistrzostwu primabaleriny lat dwudziestych" — stwierdza kierownik katedry choreografii leningradzkiej szkoły, Piotr Gusiew.

Zniknęło pojęcie tanecznej prowincji. Dobitnym tego potwierdzeniem może być przykład choreograficznej szkoły w Permie. Szkoły, która stała się swoistą akademią tańca. Perm — miasto zagubione wśród gór Uralu. W 1945 roku powstała tu szkoła choreograficzna. 1969 rok — międzynarodowy festiwal aktorów baletu w Warnie. Pierwsze miejsce i złoty medal otrzymała uczennica permskiej szkoły — H. Rogozina. „Prawdziwa sensacja sezonu", „wspaniale wyszkolona", „z pięknymi walorami zewnętrznymi", „niezwykła indywidualność" — podobnych superlatywów nie żałowała prasa pod adresem młodej gwiazdy. Wrzesień, 1969 r. Pierwszy międzynarodowy konkurs artystów baletu w Moskwie. Siedemdziesięciu ośmiu wykonawców z 19 krajów. Choć złote medale uzyskuje moskiewska para Nina Sorokina i Jurij Władimirow, jurorzy wyróżniają młodziutką Lubę Kunakową z permskiej szkoły. Prasa pisze: „uczennica przedostatniej klasy wykazała twórczą dojrzałość. Charakterystyczna i dość rzadka dla uczennicy umiejętność wyczuwania różnych stylów, zdecydowana, a nawet nieco wymosła maniera podawania rytmicznego materiału obiecują w Kunakowej balerinę wysokiej klasy".

1972 r. — konkurs choreograficznych szkół w Moskwie. Pierwsze miejsce zajmuje Nadzieja Pawłowa, 16-letnia uczennica permskiej szkoły. Jurorzy nie spodziewali się, że staną się świadkami narodzin prawdziwego fenomenu baletu. Kamera filmowa, liczni recenzenci, wywiady, owacje tysięcznego tłumu — towarzyszyły młodej gwiazdce.

Krytyk P. Gusiew pisał: „Nasz balet otrzymał wielki prezent w postaci niezwykle utalentowanej Nadziei Pawłowej... Trudno opisać jej taniec, trzeba go widzieć na scenie... Dziewczyna jest stworzona do tańca i taniec jest naturalną cząstką jej istoty. Zadziwiające to zjawisko".

W 1972 r. Międzynarodowy konkurs w Warnie. Pierwsze miejsce i złoty medal otrzymała Luba Kunakowa.

Lipiec 1973 r. W Teatrze Wielkim odbywa się Drugi Międzynarodowy konkurs aktorów baletu. Siedemdziesiąt pięć uczestników z dwudziestu trzech krajów. Siedemnastoletnia baletnica Nadzieja Pawłowa otrzymała główną nagrodę — Grand Prix i złoty medal. „Szczęśliwa jestem, że uczestniczyłam w tak wielkim konkursie. To było bardzo trudne, lecz i bardzo ciekawe" — skromnie powiedziała laureatka, talent której obiecuje wiele triumfów baletowi radzieckiemu.

To są dane statystyczne i finałowy efekt nauczania w jednej z baletowych szkół. Inne — moskiewska, leningradzka, ryska, nowosybirska też święcą triumfy, zbierając złote, srebrne i brązowe medale na międzynarodowych festiwalach. Aktorzy radzieckiego baletu są bezkonkurencyjni, a jeśli mają z kim konkurować, to chyba tylko między sobą. Na sumę tych sukcesów składa się jednolity system nauczania, doświadczona kadra pedagogów, skrupulatna selekcja kandydatów i jeszcze coś, co można by określić jako

czynnik psychologiczny.

Blask reflektorów oślepia. Nie tylko oczy. Często świadomość. Gwiazdy zaczynają wierzyć we własną wyjątkowość. Czym to grozi — wszyscy doskonale wiedzą. Radzieccy aktorzy przyjeżdżają na festiwale zbierać laury, sławy mocno opancerzeni przeciw jej pokusom. Od pierwszej klasy nauczania wpaja się przekonanie o niestałości przypadkowego powodzenia. Obojętnie reagują na pochwały obcych, liczy się tylko pochwała pedagoga. Pedagodzy zaś na ogół są surowi w ocenach. „Oczywiście dobrze, że zajęłaś pierwsze miejsce, ale w pas-de-deux... mogłabyś trochę lepiej".

Gdy zapytano pedagoga A. Waganową, co sądzi o otrzymaniu złotego medalu przez jej uczennicę H. Rogozinę, odpowiedziała: „Wykonanie skomplikowanych partii z taką lekkością, niby bez żadnego wysiłku to wynik żmudnej pracy. Jest to zwycięstwo. Ale to nie ostateczne zwycięstwo. Więcej wyrazu, więcej myśli — oto do czego będziemy teraz dążyć".

Obok pracowitości, oddania się sztuce, od gwiazdy wymaga się bezwzględnej skromności. Nigdy nie upajać się dokonanym. Dążyć do jeszcze większej doskonałości.

— Jak się czujesz Lubo! — zapytał reporter L. Kunakową podczas moskiewskiego festiwalu.

— Teraz dobrze. Nawet nie myślałam, że będę wyznaczona do udziału w konkursie, a gdy dowiedziałam się, kolana mi zadrżały. Teraz mam tylko jedną myśl, żeby jak najlepiej przygotować się do występu i możliwie być spokojną. A pan wie, jak to trudno. Dokoła tyle prawdziwych mistrzów baletu.

Mają jeszcze gwiazdy jedną wspólną cechę — określmy to jako lokalny patriotyzm. To oznacza, że baletnica z medalami, wspaniale wyszkolona, z własną indywidualnością, doskonała technicznie — słowem, którą z otwartymi ramionami przyjęłyby teatry Moskwy i Leningradu — pozostanie w swoim mieście. Uczuciowo jest związana ze swo-

ją szkołą, pedagogami, koleżankami. Nie nęcą ją ponętne propozycje, nie mamią światła wielkich miast, nie kusi sława. Bardzo rzadko się zdarza, kiedy absolwentka szkoły, zaliczana do prymusów, opuszcza swoje miasto. I jeśli tańczy obecnie w Leningradzie H. Rogozina, to wierna Permowi pozostała Luba Kunakowa, Nadia Pawłowa i dziesiątki innych, rozsławiających radziecki balet w najrozmaitszych zakątkach świata.

Kaprysy gwiazdom

zdarzają się również, ale widziane są niemiłe i rychło potępiane. Katię Maksymową z miejsca polubili, uznali i zachwycili się. Wszyscy. Pedagodzy moskiewskiej szkoły choreograficznej, aktorzy Teatru Wielkiego, królowa belgijska — wielka miłośniczka baletu i tysiące widzów urzeczonych było urokiem „małej Katii". Rzecz niesłychana! Uczennicy (nie absolwentce) powierzyli w Teatrze Wielkim czołową partię w balecie „Kamienny kwiat". Sukces odniosła oszałamiający i błyskawiczny. Tournee po Ameryce — i światowe uznanie dla najmłodszej primabaleriny zapewnione. Czarująca, wdzięczna, kokietująca, kaskada namiętności i błysk wirtuozerii — taką była Kitri w „Don Kichocie". Potem przyszedł „Kopciuszek", muza z „Paganiniego".

Młodość — złota pora dla aktora, lecz i najbardziej niebezpieczna. Od młodego aktora wymaga się temperamentu, szczerości, zapału. W Maksymowej widzieli drugą Ułanową... i pomylili się. Nie posiadała jej żelaznego zdyscyplinowania, ascetycznego sposobu bycia i absolutnej skromności. Rozpieszczona sławą, rozkapryszona sukcesami powoli traciła swą bezpośredniość i indywidualność, stając się naśladowczynią „wielkich gwiazd". Sława zaś wyrządziła jej niedźwiedzią przysługę.

Kiedy prasa zachłystuje się od pochwał, pod niebiosa wynosząc fenomenalne zdolności — gwieździe łatwo w to uwierzyć. A wówczas przychodzi wielkie niebezpieczeństwo: aktorka traci samokontrolę, osłabia wymagania w stosunku do siebie, zbyt ufając swemu talentowi, przestaje systematycznie pracować i... klapa! Następuje moment (na ogół zbyt późno), kiedy uświadamia sobie, że straciła dawny czar swej indywidualności, stając się chłodnym, beznamiętnym rzemieślnikiem.

Z Katią na szczęście tak się nie stało, bo w porę przyszła mądra pomoc w postaci wybitnego pedagoga H. Ułanowej.

Starzenie się nie należy do chwil radosnych. Najbardziej boleśnie odczuwają starość gwiazdy. Ile męstwa, duchowej woli kosztuje je dobrowolne ustąpienie miejsca innym. „Starzeć się należy pięknie" — powiedział któryś z filozofów. Halina Ułanowa uczyniła to nie tylko pięknie, lecz z ogromną godnością i taktem. Może i „pikało" jej serce z zazdrości, gdy słuchała owacji zgotowanych już nie dla niej, lecz potrafiła dać z siebie wszystko, żeby jej uczennice stały się prawdziwymi gwiazdami baletu.

Z pomocną dłonią przyszła Katarzynie Maksymowej. Przekazała swoje niezwykłe mistrzostwo profesjonała, a także swoje osobiste cechy: skromność, samozaparcie, pracowitość. W tym, czym Maksymowa jest dzisiaj, jest zasługa H. Ułanowej.

Balet wydaje się być bardziej humanitarny od innych dziedzin sztuki. Nigdzie z taką troską obok laureata nie wymienia się nazwiska jego pedagoga. Minęło pięćdziesiąt lat, a każdy radziecki widz, trochę obeznany z baletem wie, że H. Ułanowa i M. Plisiecka — to szkoła A. Herdt, że A. Besmiertnowa jest uczennicą M. Siemionowej itd.

Gwiazdorzy baletu

istnieją również. I również wymaga się od nich wielkiej indywidualności, odnalezienia własnego „ja". Coraz częściej pojawiają się aktorzy, których techniczne umiejętności nie mieszczą się w ramach przyjętych kanonów baletowego pas.

Przykładem może służyć Jurij Władimirow — solista Teatru Wielkiego. Patrząc na jego taniec widz odnosi wrażenie, że aktor przekroczył granicę fizycznych możliwości człowieka, ignorując newtonowskie prawo ciążenia. Przecież jest absolutną anomalią, żeby człowiek wykonując fantastyczny skok w powietrze mógł tam zatrzymać się na chwilę, potem jak kamień lecieć w dół (w niewygodnej pozycji) głową ku ziemi i nagle zamarłszy stanąć na nogi. Władimirow jest niezrównany, gdy przedstawia charakter samoistny, heroiczny, pełny niepohamowanego temperamentu, żywiołowej siły, istotę bujną, dziko-namiętną, natomiast wątpliwe, żeby również był niezrównany w roli lirycznej. To oznacza, że Wasiljew nie będzie bezkonkurencyjny w roli rozszalałego atamana — bo jego żywioł — sentyment.

Podobne analizy o aktorach można spotkać w każdej, nawet niefachowej radzieckiej prasie. Wniosek nasuwa się sam: balet uważa się tam za dziedzinę ogromnie ważną w życiu społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że uważany on jest również za

najlepszy w świecie

Bądźmy jednak obiektywni! Nie zachłystujmy się pochwałami własnych sądów! Dajmy głos ludziom nastawionym nieco sceptycznie, którzy notują wraz z plusami również i minusy. Ludziom, którzy trochę buntują się przeciw absolutnej hegemonii radzieckiego baletu w świecie.

„L' Aurore"...

„Teatr Wielki był zarzucony kwiatami podczas pożegnalnego spektaklu. Paryski sezon baletowy Teatru Wielkiego został uwieńczony apoteozowaniem go w kompletnie przepełnionym Pałacu Sportu. Liczni melomani radzieckich tancerzy siedzieli nawet na schodach, albo stali wzdłuż ścian, a kilka setek widzów pozostało za drzwiami, gdyż sala (czterotysięczna) nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Natalia Besmiertnowa — nieśmiertelna Gizel — otrzymała nie mniej niż 50 bukietów. Skaczący Szamil — Jagudzin musiał wykonywać bisy. Maja Plisiecka trzy razy powtarzała „Umierającego łabędzia", a publiczność domagała się jeszcze i jeszcze. I wreszcie para numer jeden — K. Maksymowa i Wł. Wasiljew **dwadzieścia** razy wychodziła na bis, a publiczność wciąż nie pozwalała opuścić kurtyny".

„France Jour": „Teatr Wielki jest jednym z najpiękniejszych baletów świata. To balet klasyczny, który osiągnął szczyt doskonałości, arcydzieło gracji i harmonii tańca. Nie ma on i mieć nie może równych w świecie".

„L'Eguipe": „Radziecki balet — to fantastyka i legenda. Jest on największą wielką szkołą w świecie".

„Le Figaro": „Balet Teatru Wielkiego — to akademizm na obsłudze utalentowanych tancerzy".

Spacer po krainie gwiazd

skończony. Jak widzimy nie jest to kraina beztroskiej radości i łatwych sukcesów. Jest to kraina ciężkiej pracy i egzystować tam mogą tylko silni, wytrwali i bardzo ludzcy.

ELWIRA WATAŁA

fot. CAF

Gość niechętnie proszony

Olaf Leśny

Reportaż jest tym gatunkiem piśmiennictwa, na pograniczu publicystyki i beletrystyki, który przeżywa okresy bujnego rozkwitu i krzywdzącego upadku. Sprawa jest, tym bardziej dziwna, że jest to utwór cieszący się dużym powodzeniem. Cokolwiek byśmy o tym gatunku powiedzieli, jedno jest prawdziwe: odbiorca, zwłaszcza ten masowy, nigdy nie był przeciwnikiem takiej formy wypowiedzi, gdzie walor dokumentu kojarzy się z wartościami estetycznymi. Kontrowersje budzi niekiedy reportaż jedynie wśród dysponentów prasy. Podkreślam: nie zawsze, nie wszędzie! Znam naczelnych, co nie oglądając się na koniunkturalne uwarunkowania, hołubią reportaż na łamach swoich czasopism. Ale większość nie jest znów taka stała w wierności temu gatunkowi.

Skąd to się bierze? Reportaż nie daje się utemperować, ugłaskać. Owszem, owszem, aby fałszywe dać świadectwo, akurat wtedy mnożą się bez liku reportażyki-potworki, reportażyki-gnieciuszki; następuje gwałtowne osłabienie klasyfikacji krytycznej gatunku, wyjałowienie pojęć. Jacek Kajtoch kiedyś zauważył, „Nie wystarcza przecież autentyzm, wierny, sprawdzalny w najmniejszym szczególe opis. O wartości reportażu nadal przede wszystkim decydują wartości literackie: wybór tematu, dramatyzacja, trafny portret psychologiczny, swoboda językowa, intelektualna pointa."

Naczelni nie zawsze polują na wartościowy reportaż, gdyż jego treściowe wartości, poznawcze walory, są trudne dla obecnej ingerencji. W reportażu, zwłaszcza literackim, nie chodzi bowiem jedynie o komunikowanie obiegowych pojęć myśli, sensu jednoznacznego. Chodzi o stwarzanie pewnych asocjacji umożliwiających przekazywanie obrazów i stanów emocjonalnych autora, bohaterów. W artykule publicystycznym przeważają zdania logiczno-dyskursywne, polegające na jednoznacznym prezentowaniu problemu i formułowaniu konkretnych, dopiętych na ostatni guzik wniosków. Dlatego artykuł publicystyczny, zawsze cieszył się dużymi względami. Był głaskany po główce, rozpieszczany słodyczami. Reportaż zbudowany jest na innej zasadzie: nie podaje gotowych konkluzji, nie uogólnia pospiesznie, nie rzuca gotowych postulatów. Rozniecа tylko ciekawość czytelnika, nakłania do przemyśleń osobistych, zaś opisowy tok narracji, opis zdarzenia, doznań autora, to wszystko ma stworzyć zachętę odbiorcy do własnej oceny prezentowanego zjawiska. Do opracowania własnego komentarza, własnej syntezy.

Fakty, spostrzeżenia, przemyślenia – cegiełki przyszłej budowli. Gdy leżą na kupie, na placu budowlanym, każdy przechodzi obojętnie. Dopiero wtedy zbudzą podziw, kiedy rzetelny majster postawi z nich okazały dom. Owe składniki, cegiełki reportażu, oddzielnie traktowane, mogą być same w sobie niedyskusyjne, nie budzące sprzeciwu. Całość ujawnia niepokój, poklask, sprzeciw. Wtedy mianowicie, kiedy przed odbiorcą tworzy się pewien obraz. Jeszcze inaczej: wtedy mianowicie, gdy w świadomości odbiorcy rodzi się podczas lektury odrębny, zwarty system własnego osądu. Odpowiednio ułożone, zestawione fakty, zaczęły byt samoistny. Zaczęły pracować, oddziaływać na wyobraźnię odbiorcy, na kształt wzmacniacza odbieranych impulsów, transformatora wrażeń. Stało się to dzięki swoistej selekcji przedstawionych faktów, relacji, dokonanej przez reportażystę, bacznego obserwatora życia. Drobne na pozór fakty, nałożone na siebie, odtworzyły życie w sp-tęgowanej, wyjaskrawionej formie; a więc bardziej czytelnej, sugestywnej.

Sugestywność utworu? No, proszę, jak tu ingerować w taką nieuchwytną materię, jak sugestia, gdy teza, ideowe założenia, konkluzje wynikają jedynie pośrednio, istnieją jedynie w świadomości odbiorcy, nie na papierze? I jak tu skreślić, co tu wyrzucić, jak ingerować w tekst, kiedy ta konkretyzacja myśli przewodnich nie występuje wprost, nie wynika bezpośrednio z prostej sumy zdań zawartych w reportażu?

Świadek naszych czasów

O co walczy reportaż? O prawdę niewygodną. Bywają okresy, kiedy ta prawda – nawet gorzka, nawet bardzo krępująca – jest mile widziana. Wówczas obserwujemy pospolite ruszenie reportażystów różnej maści i klasy. Potem przychodzi czas studzenia zapału, odpływu rzeszy wielbicieli „nagiej prawdy"; pozostaje grupka, która za cenę osobistych wyrzeczeń, materialnych strat, uprawia nadal to swoje poletko.

Ażeby jaśniej się wyrazić: prawdziwy reportaż, nie karzełek-potworek, rozwija skrzydła w okresach przełomu, druzgotania zaśniedziałych struktur społecznych, gospodarczych, politycznych. Reportażyści stają się wówczas forpocztą przemian, zwiadem w nieznane, świadkiem współczesności. Jak to ładnie powiedział Zbigniew Kwiatkowski w „Życiu Literackim", „reportaż jest jednym z najczulszych sejsmografów bezbłędnie reagujących na zmiany tętna życia politycznego i społecznego. I to sejsmografem działającym niejako z wyprzedzeniem: ożywienie w reportażu towarzyszy – często je nawet wyprzedzając – ważnym wydarzeniom społecznym i politycznym. I na odwrót: okresom stagnacji myśli i działań społecznych towarzyszy to, co nazywamy „kryzysem reportażu".

Zaś Józef Kuśmierek, wybitny autor odkrywczych reportaży, ongiś szef grupy epizodycznej w ochronie rządu, w taki sposób skarży się w wywiadzie „Kultury" na czasy dzisiejsze: „reportaż (dziś) służy jako ozdoba świątecznych i uroczystych wydań, a nie źródło wiedzy o rysującej się dopiero rzeczywistości. Niektórzy twierdzą, że lepsze środki łączności i sygnalizacji zmniejszyły odkrywczą rolę reportażu. Nie wierzę w to, chociaż ostatnie miejsca reporterów na listach wynagrodzeń przemawiają za zmierzchem".

Aby reportaż mógł istnieć, świadczyć swą obecnością epoce, musi mieć stworzone po temu warunki. Nie okłamujmy się; sprawy drobne, finansowe, mają ogromny wpływ na kształtowanie się podaży tego rodzaju twórczości. Ostatecznie reportażysta z tego żyje. Gdyby miał – dajmy na to – dwa tygodnie czasu na zebranie dokumentacji i napisanie – powiedzmy – 15-kartkowego reportażu interwencyjnego, literackiego; gdyby otrzymał honorarium odpowiednio większe od zarobków producenta „michałków"!

Oddać możliwie wiernie, w postaci laboratoryjnie czystej, nie zmąconej, mechanizm procesów społecznych, odtworzyć napięcie i siłę dramatu przemian, nakreślić wielopłaszczyznowy rysunek środowiska, jego bohaterów unurzanych we współczesności, konfliktach – oto powinność ambitnego reportażysty. Odkrywczość, pasja poznawania życia jest tym właśnie wyróżnikiem dobrej roboty. I to niekoniecznie musi być materiał demaskatorski, interwencyjny, przysłowiowy kij w mrowisko. Powtórzę słowa niedawno zmarłego Melchiora Wańkowicza, wielkiego asa polskiego dziennikarstwa; słowa, z którymi solidaryzuję się poniekąd: „Każdy rodzaj reportażu ma swoje racje istnienia. Ma pełne uzasadnienie reportaż wyłącznie demaskatorski. Ale na mój gust, więcej sobie cenię tych reporterów, którzy nie tylko „płaczą", ale i współtworzą. Wola tworzenia jest w człowieku silniejsza niż wola destrukcji i wrażliwość pisarska przejmuje ją do tego stopnia, że rządzi pisarzem". Chociaż, prawdę mówiąc, skłaniają do zadumy pytania w rodzaju: „Czy reporter zaangażowany, który poszukuje w rzeczywistości społecznej przede wszystkim konfliktów, natrafiać będzie na coraz uboższe źródła?" Takie pytanie postawił sobie Karol Badziak, by w następnym akapicie dać odpowiedź: „Wierzyć w to, że z biegiem czasu będzie na świecie coraz mniej konfliktów, to prawie tak samo jak oddawać się złudzeniom, że ludzie wraz z upływem lat stają się mądrzejsi".

Chwalba czy krytyka

Istnieje często łatwo zauważalna niezgodność między interesami jednostek wchodzących w skład kierowniczych ugrupowań stopnia terenowego i centralnego a interesem ogólnym ustroju, państwa, społeczeństwa – w perspektywie lat dalszych. Ci, którzy w naszym imieniu rządzą, decydują, kłopoczą się z trudnościami, też są tylko ludźmi. Też niezbyt miło im słuchać i czytać gorzkie uwagi w różnych dziedzinach życia; w jakimś ułamku bezpośrednio lub pośrednio odpowiadają. Jednakże w interesie socjalizmu leży odkrywanie błędów, konfliktów i trudności, ujawnianie prawdy nawet najbardziej przykrej. „Życie z uporem, z furią uderza we wszystko, co stanęło, zastygło, zamieniło się w gips, czy nawet brąz i marmur – wołał już w roku 1958 Putrament. – Ale jednocześnie z kruszeniem się jednego gipsu już zastyga inny. Jakże często odbrązowiacze rozbijają posągi przede wszystkim z potrzeby łomu na odlanie innych...".

Zaś Jerzy Andrzejewski, późniejszy autor „Ciemności kryją ziemię", w latach młodszych tak wybrzydzał ku radości poniektórych: „Grymaśnicy i krytykomaniacy są natrętni i dokuczliwi jak komary albo końskie gzy. Bzykają, bzdryngają i

brzęczą. Kłują i tną. Odegnasz ich — natychmiast powrócą i znów zaczną po swojemu bzykać, bzdyngać i brzęczeć, kłuć i ciąć. Okropny rodzaj ludzkich gzów (...). Że się mądrzą i czepiają; że ryją pod młodziutkimi pędami jak krety; że ich radość jest cierpka jak ocet; że przylepiają się do płotek jak rzep do psiego ogona; że tylko na jedną nutę potrafią bzykać i bzdyngać. O to chodzi".

A Jan Szeląg, przekorny grymaśnik, już przed dziesięciu laty miał trudności, by wyjaśnić prawdę oczywistą: „Ten, kto akceptuje wszystko, co istnieje, jest właśnie najgorszym przeciwnikiem. Bo swoją niby szalenie pozytywną akceptacją staje na drodze rozwoju, hamuje rozwój polegający na odrzucaniu, ciągłym odrzucaniu tego, co się zestarzało i zakrzepło w przeszłości, teraźniejszości i zastępowaniu przyszłością".

Dlaczego reportażysta chętniej sięga po tworzywo demaskatorskie, krytyczne? Dlaczego materiał interwencyjny ma większe wzięcie niż „konstruktywne" wypowiedzi reporterskie? Nieraz padają wyrzuty:

— Czemu w tych reportażach przedmiotem relacji są sprawy drastyczne, wyjątkowe? Piszcie o życiu normalnym, przeciętnym.

— Po kiego licha robicie bohaterami reportażu jakichś tam nieszczęśników, stukniętych, maniaków, konfliktowców? To już brakuje wam wzorców pozytywnych? Pokazujcie ludzi statecznych, przodujących.

— Po co to pisać o takich negatywnych sprawach, rozgrzebywać, dolewać oliwy do ognia? My to sami we własnym zakresie załatwić potrafimy...

Wśród zawodowców panuje opinia:

Gdy Burek ugryzie na głównej ulicy przechodnia, będzie to niezły temat do interwencyjnej notatki. Jeśli Burek ugryzie naczelnika miasteczka, o! to już ma swój smaczek. Bo rodzi się refleksja: burmistrzu, a gdzie skuteczność zwalczania bezpańskich psów, jakże niebezpiecznych roznosicieli wścieklizny? Było zarządzenie, a jak ono jest respektowane? Takim przypadkiem zajmie się Smożewski albo inny felietonista. Rozwinie temat o przyczynie i skutku. Wypuści kąśliwy felieton.

Reportażystę to nieco poruszy, ale na ogół poczeka na jeszcze bardziej wymowniejszy fakt, zdarzenie. Dla niego jeszcze nie zaterkotał dzwonek wzywający do działania. Zaterkocze mu sygnałem wtedy, gdy naczelnik ugryzie Burka. Niekoniecznie na głównej ulicy; niechby nawet na bocznej, niechby w szczerym polu! Ale niech ugryzie. Wówczas dopiero przed reportażystą rozciąga się barwna panorama wyjątkowości sytuacji. Pytań bez liku, a każde nabrzmiałe społeczną treścią. Co to za naczelnik, kto go mianował? Co to za środowisko wyborców? Jakie sprężyny działały podczas kampanii na rzecz mianowania takiego właśnie człowieka na wysokie stanowisko? Mentalność miasteczka. Charakterystyka rodziny delikwenta, stanowisko lekarzy, władz nadrzędnych. Z tego kosza pytań wijących się jak piskorze, wyłazi posępna twarz miasteczka, obojętnego, nieczułego nawet wobec własnych interesów, własnej lokalnej władzy. Ten epizod z Burkiem stałby się tylko pretekstem, wabikiem, wyzwalającym inicjatywę reporterską i ciekawość masowego czytelnika. W selektywności prezentowanego zdarzenia ukrył się wielki problem społeczny. Jeden nienormalny przypadek spełnił funkcję detonatora „bomby".

Zresztą, nie trzeba czekać aż na taki drastyczny przypadek. Dobrą ilustracją tezy o znaczeniu „detonatora" może być reportaż „Zawał" Bogusława Rajcherta, dobrze znany czytelnikowi. To bodaj jedyny reportaż z obfitego tegorocznego dorobku prasy kieleckiej, który długo będzie się opierał próbie czasu. Wstrząsnął on sumieniem uczciwych ludzi, rozkwasił gębę biurokracji. A zaczęło się od pozornie banalnego wypadku: zmarł człowiek na przystanku, w pogoni za autobusem...

Podkreślając znaczenie zdarzeń rzadkich, niezwykłych, w budowie reportażu, znany warszawski reportażysta Krzysztof Kąkolewski tak to ujmuje: „Trzeba by w szczególności zbadać te zdarzenia, które potocznie nazywamy „rzadkimi", „niezwykłymi", „nieprawdopodobnymi" i ustalić, dlaczego właśnie te zdarzenia są tak często brane na fabułę reportaży. Należałoby zbadać i porównać napięcia i rozgęszczenia, pustki dramatyczne w zdarzeniu, niejednorodności i nierównomierności, skoki przypominające zapis sejsmograficzny — i porównać je z powoli wznoszącym się aż do punktu kulminacyjnego i rozwiązania wykresem utworu, którego autorem jest świadomie działający twórca".

Dlaczego — krótko mówiąc — reportaż interwencyjny, demaskatorski jest bardziej ambitny? Dlatego, że:

— Większym ryzykiem osobistym autora jest krytyczna myśl niż chwalba. Aby coś krytykować, trzeba przede wszystkim być znawcą przedmiotu. Gloryfikacja nie wymaga większego wysiłku umysłowego.

— Większą potrzebą społeczną jest zwalczanie zła, gdyż bez usuwania ujemnych zjawisk z naszego życia nie ma postępu. Akceptacja i poklask są wartościami mniej niezbędnymi społecznie.

— I wreszcie sprawy warsztatowe: materiał interwencyjny, krytyczny jest sposobniejszy w obróbce, w przetwarzaniu, gdyż ułatwia dramatyzację i napięcie. A są to podstawowe elementy konstrukcyjne wartościowego reportażu.

OLAF LEŚNY

fot. M. Łopieński

Staszowskie lata tłuste

Izabella Czaplarska

Opowiadają, że przed wojną jeden z mieszkańców Ossali zamieścił anons w prasie o sprzedaży 3 hektarów ziemi ornej w Sandomierskiem. Ziemia sandomierska zawsze uchodziła w kraju za wysoko urodzajną, toteż nabywca szybko się znalazł. Przyjechał z Warszawy, a sprzedający umówił się z nim w Sandomierzu. Kupujący, zachęcony niską ceną, spieszył się z przeprowadzeniem transakcji, przekonany, że trafił na wyjątkową okazję. Targu dobito, zanim zdążył obejrzeć ziemię. Potem, gdy dokonał oględzin posiadłości, zaraz wyjechał z Ossali, by więcej tu nie wrócić. Kupiona ziemia długo leżała odłogiem.

Istotnie — ziemia w Staszowskiem nie należy do żyznych. W małej broszurze „O ziemi staszowskiej" wydanej nakładem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i Inspektoratu Oświaty w 1961 r. pisano:

„Powiat staszowski jest powiatem typowo rolniczym. Brak na jego terenie większego zakładu pracy. Mimo, że część ludności szuka zajęcia poza granicami powiatu, to jednak zdecydowana większość pozostaje na gospodarstwach, powodując ich karłowacenie. Stąd też w powiecie dominują gospodarstwa małorolne. Mimo, że jest powiatem rolniczym, to jednak w produkcji zbóż i pasz — nie jest samowystarczalny. Samo rozdrobnienie nie obrazuje jeszcze sytuacji gospodarczej, bo trzeba podkreślić, że ziemie powiatu, to w ogromnej większości lekkie piaski i sapy w VI i VII klasie".

Autor czy autorzy książeczki kreślili ten niewesoły obraz powiatu zaledwie przed 13 laty. Minęło jeszcze kilka lat i biedak stał się bogaczem. Odkryto siarkę. Nie ma dziś w Kielecczyźnie drugiego zakątka, który równie szybko przeszedłby tak gruntowne przeobrażenia. W Staszowie proces ten trwał zaledwie lat siedem.

— Smutne były pierwsze nasze narady produkcyjne — wspomina dyrektor kopalni inż. Franciszek Nadrowski, jeden z pionierów polskiego przemysłu siarkowego, który do Grzybowa przeniósł się z Tarnobrzegu. — My im mówiliśmy o nowatorskiej, pierwszej w Europie metodzie wydobycia siarki przez podziemne wytapianie, o konieczności doskonalenia tej metody i zwiększania wydobycia, a oni przeważnie milczeli i chyba myśleli o tym, co w tym czasie dzieje się u nich w zagrodzie. Nie mieliśmy wówczas wspólnego języka, bo nie było jeszcze załogi, lecz zlepek pojedynczych ludzi. Trzeba było czasu, by poczuli smak pracy w górnictwie, zżyli się z kopalnią, uznali, że tu jest ich chleb i przyszłość.

Chłop-górnik na początku przede wszystkim starał się zrealizować swoje plany życiowe, które podyktowane były potrzebami gospodarki. Inwestował: budował nowy dom mieszkalny, budynki inwentarskie, kupował więcej nawozów, czasem jakieś maszyny rolnicze. Wstawał o 3-ciej rano, wychodził w pole, potem spieszył do autobusu, by zdążyć na swoją zmianę w kopalni. Wracał po pracy do domu i gdy dzień był długi, znowu wychodził do pracy w polu. Z czasem poczucie ważności spraw związanych z pracą w kopalni i w gospodarstwie niepostrzeżenie zmieniło się, punkt ciężkości przesuwał się na korzyść nowego zawodu — górnictwa.

Kierownictwo kopalni i organizacji partyjnej świadomie i konsekwentnie przyspieszało te przemiany. Tych, którzy najszybciej zdobywali umiejętności w nowym zawodzie, chwalono i nagradzano. Mówiono o ich pracy w kopalni z szacunkiem nie tylko w Grzybowie, ale także na wsi, gdzie mieszkali.

Jeden z górników kopalni, który przez pół swego życia był przekonany, że urodził się rolnikiem i — jak jego ojciec — rolnikiem pozostanie do końca swoich dni, mówi teraz, że największą radość przeżył, gdy dyrekcja kopalni poprosiła jego żonę i dorastającego syna na spotkanie przy herbacie, żeby im powiedzieć, że ich mąż i ojciec jest dobrym, wyróżniającym się górnikiem.

I bez tych uroczystych okazji czas spędzony w kopalni coraz bardziej zmienia ich pojęcie o sobie. Mówi naczelnik powiatu — Tadeusz Chochowski:

— W pierwszych latach pracy w kopalni dbają głównie o swoje gospodarstwa i stawiają je na nogi. Potem, w miarę, jak wciągają się w górnictwo, mniej już mają czasu i serca do pracy na roli. Ale to, co zainwestowali — zostaje, a pozostali członkowie rodziny, najczęściej kobiety, przejmują większość obowiązków. I choć ta kombinacja rodzin chłopsko-górniczych ma także swoje złe strony, to jednak przeważają dobre. Nie przypadkiem dwie gminy w powiecie: Staszów i Tuczępy, z których najwięcej ludzi dojeżdża do Grzybowa, mają gospodarstwa towarowe, z dobrym przychówkiem bydła i trzody, a gmina Raków, mniej zaktywizowana przez przemysł, słabo rozwija rolnictwo i hodowlę.

Koegzystencja górnictwa z rolnictwem ma w Staszowskiem trudne początki. I choć siedem lat to niewiele w rolnictwie i bardzo mało na skomplikowany proces stapiania się załogi nowego zakładu — proces ten już się dokonał. Nie ma dziś w Grzybowie żadnego: „my" — kadra techniczna z górniczymi kwalifikacjami i „oni" — ludzie z wiosek, którzy przyszli pracować w kopalni. Jest natomiast fachowa, najlepsza w krajowym górnictwie siarki załoga, niezmiernie przywiązana do swego zakładu. Nie ma w tym stwierdzeniu ani szczypty przesady. Grzybów wygrywa we współzawodnictwie pracy z zakładami i kopalniami o bardzo starych tradycjach, jak np. kopalnia soli w Wieliczce i z siarkowymi potentatami, jak Tarnobrzeg i Machów. W ubiegłym roku kopalnia zajęła I miejsce w całym Zjednoczeniu Przemysłu Kopalnictwa Surowców Chemicznych. Zdobyła także tytuł najlepszego eksportera. W resorcie chemii uzyskała najlepsze wyniki w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy.

Kluczem do tych niecodziennych osiągnięć są talenty racjonalizatorskie i nowatorskie grzybowskich górników. Projektowaną zdolność produkcyjną 1 mln ton siarki kopalnia uzyskała w 1972 roku. W roku bieżącym wydobycie osiągnie 1,2 mln ton. Wzrost ten dokonał się drogą pomysłów ludzi doskonalących technologię wydobycia — bez nakładów inwestycyjnych.

Zmodyfikowano w tym czasie technologię spalania gazów, podniesiono wydajność kotłów, skrócono czas ich remontów i czyszczenia, o połowę skrócono drogę obiegu gorącej wody do pól górniczych i ogrzewania płynnej siarki w czasie transportu z otworów wydobywczych do zbiorników. W rezultacie dostarczono o 20 proc. więcej gorącej wody na stanowiska górnicze i odebrano odpowiednio więcej siarki. U podstaw modyfikacji legły usprawnienia kilku zespołów pracowniczych, którymi kierowali główny energetyk — inż. Józef Wysocki i nadsztygar — inż. Zygmunt Morawiec, Marian Musiał i Tadeusz Smogoń oraz inż. Mieczysław Pelczer.

W Grzybowie racjonalizatorami są także pracownicy — wczorajsi chłopi. Składają corocznie kilkadziesiąt wniosków, które szybko trafiają do realizacji. Im to m.in. w dużym stopniu zawdzięcza kopalnia I miejsce w resorcie w dziedzinie bhp.

Rozwijający się ruch racjonalizatorski i wynalazczy zachęcił do prowadzenia systematycznych badań o charakterze naukowym. Mimo więc, że kopalnia nie posiada własnego, zorganizowanego ośrodka badawczo-rozwojowego, znalazła się grupa ludzi, którzy takie badania prowadzą i uzyskali zdumiewające wyniki. Zespół, kierowany przez inżynierów-specjalistów: Bronisława Małka, Kryspina Niziałka i Kazimierza Zarębskiego prowadził długotrwałe pomiary warunków eksploatacji siarki. Obserwowali współzależność wprowadzonej do otworu wody i temperatury do wydobytej płynnej siarki. W rezultacie badań opracowali optymalne warunki eksploatacji, które przyniosły rewelacyjne wyniki: przy tej samej ilości dostarczonego ciepła uzyskano zwiększone wydobycie. Co ważniejsze — w nowych warunkach eksploatacji złoże oddaje nie 30 proc. siarki, jak dotychczas, a 50 proc. W praktyce oznacza to, że egzystencję grzybowskiej kopalni przedłuży się co najmniej o kilka lat, wydobywając o kilka milionów ton siarki więcej. Badania trwają dalej.

Clondike Kielecczyzny wyrosła na siarce i wraz z siarką przeżywa swe lata tłuste i chude. Kopalnia w Grzybowie powstała w gorączkowym tempie, gdy ceny siarki stały mocno na rynkach świata. Wkrótce jednak przyszły lata umiarkowanego zainteresowania tym surowcem. Grzybowska załoga właśnie w tych latach zrobiła wiele dla poprawy organizacji pracy, lepszej eksploatacji urządzeń i zwiększenia wydobycia. Walczyła o konkurencyjność polskiej siarki na rynkach zagranicznych i uzyskała doskonałe rezultaty: od początku istnienia kopalni obniżyła koszt wydobycie jednej tony siarki o 25 proc. Rosła także szybko wydajność pracy z 200 ton wydobytych przez jednego pracownika rocznie do 590 ton w roku bieżącym.

Ostatnio sytuacja zmienia się obserwuje się stały wzrost zainteresowania siarką na rynkach zagranicznych. Cały dotychczasowy dorobek załogi kopalni będzie teraz procentował w dwójnasób. Już obecnie opracowuje się projekt dalszej intensyfikacji produkcji — tym razem w drodze inwestycyjnej, lecz przy korzystaniu całego kapitału doświadczeń i udoskonaleń, wprowadzonych w kopalni.

Siarka — to nie tylko górnictwo. Na tym surowcu opiera się cała potężna gałąź chemii, skąd prowadzą tysiące dróg do najbardziej nowoczesnych tworzyw i produktów, coraz liczniej poja-

wiających się w najbliższym otoczeniu człowieka. Dlaczego więc poprzestać na wydobyciu, dlaczego nie podjąć się uszlachetniania siarki? — zadawano sobie w Grzybowie pytania. W Warszawie ważyła się właśnie decyzja lokalizacji gdzieś w kraju potężnej fabryki dwusiarczku węgla — półproduktu siarki, niezbędnego do wytwarzania tworzyw, włókien sztucznych i innych artykułów. Dobrze zorientowani w świecie wielkiej chemii specjaliści z kopalni, wśród nich inż. Nadrowski, stali się orędownikami budowy fabryki w sąsiedztwie kopalni. Mieli mocne argumenty: kopalnia dostarczać będzie fabryce surowiec do produkcji, część grzybowskich fachowców, po odpowiednim przeszkoleniu, stanowić będzie trzon załogi przyszłej fabryki.

Przy energicznym poparciu władz wojewódzkich, wybór padł na Grzybów.

Budowa już się rozpoczęła. Rozruch zakładu przewidziany jest w 1977 r. Fabryka wyposażona zostanie w nowoczesne urządzenia francuskie, które przy pełnej hermetyzacji urządzeń i przebiegu procesów produkcyjnych gwarantują, jak zapewnia zagraniczny dostawca, pełną ochronę środowiska.

Tak więc w Grzybowie rozpoczęła się reakcja łańcuszkowa: kopalnia zrodziła fabrykę dwusiarczku węgla, a fabryka, której produkt jest materiałem wyjściowym dla wielu artykułów, być może, w niedalekiej przyszłości obrastać zacznie wytwórniami.

Przemysł w Staszowskiem przekroczył już granice Grzybowa. Trzeci wielki zakład przyniosła do powiatu Wisła. W obecnych latach ogromnej energii i dynamiki gospodarczej dojrzał do realizacji gigantyczny projekt uregulowania i wykorzystania w transporcie węglowym górnego biegu Wisły, u którego początku czekają na eksploatację złoża węgla energetycznego. Rozpoczęła się budowa tzw. „kaskady górnej Wisły" — 18 progów wodnych z zaporami i śluzami. Jeden z nich wybudowany zostanie pod Połańcem. Jednocześnie rozpoczęła się budowa wzdłuż przyszłej komunikacyjnej arterii wodnej nowych obiektów przemysłowych, które do swego działania potrzebują znacznych ilości wody i węgla. Jednym z nich jest elektrownia w Połańcu.

Historia z lat powstawania kopalni siarki powtórzyła się w Staszowie raz jeszcze. Na miasteczko i powiat spadł deszcz pieniędzy. Są one przeznaczone na nowoczesne urządzenia, które mają służyć ludziom zatrudnionym w nowych zakładach przemysłowych.

Staszowski ryneczek — pępek miast z przysadzistym ratuszem pośrodku — oparł się dotąd skutecznie nawałnicy: wypchnął na peryferie nowe bloki czterotysięcznej dzielnicy mieszkaniowej grzybowskich górników i pozostał otoczony, jak dawniej, wianuszkiem biednych sklepików. Kiedyś, dawno, ruch tu był tylko w dni targowe. Sprzedawcy, po staremu, nie są przekonani, że ich usługi mogą być klientom potrzebne i najchętniej o różnych porach dnia wywieszają karteczki: „wyszłam do banku", „zaraz wracam".

Do 5 tys. mieszkańców dawnego Staszowa przybyło w ostatnich latach 6 tys. nowych, przeważnie z innych większych miast. Nie starczyło dotąd czasu, by się przygotować na ich przyjęcie. Nie zdążył jeszcze Staszów uporać się z wodociągami, kanalizacją i gazyfikacją. Te atrybuty cywilizacji za sprawą siarki, dotarły wprawdzie do miasteczka, lecz zatrzymały się u progu większości staszowskich domów. Buduje się w Staszowie przede wszystkim domy mieszkalne, by ludzie, którzy przenoszą się tu do pracy w przemyśle, mieli gdzie mieszkać. Wobec tej potrzeby niemal wszystkie inne schodziły dotąd na plan dalszy.

Tymczasem znowu za przemysłem spłynęły pieniądze. Dużo pieniędzy. Do roku 1977 zamienić trzeba 263 mln zł na 300 mieszkań w drugiej, nowej dzielnicy mieszkaniowej Staszowa, przedszkole, ośrodek sportowo-rekreacyjny z halą sportową i krytym basenem, dom kultury i szkołę zawodową.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdyż teraz w powiecie budować trzeba jednocześnie nie jedno a dwa miasta z całym skomplikowanym, nowoczesnym wyposażeniem. Pobliski Połaniec, który buduje się od podstaw, otrzyma blisko miliard złotych, by w roku 1990 przekształcić się w 15-tysięczne, nowoczesne miasto. Oba miasta budować ma Buskie Przedsiębiorstwo Budownictwa, którego do potentatów budowlanych zaliczyć raczej nie można.

Naczelnik powiatu nie kryje swojej troski:

— Kto nam to wszystko wybuduje? Nie mamy własnego przedsiębiorstwa budowlanego, a w innych powiatach województwa nikt nie czeka, by u nas właśnie budować. A u nas ludzie pracują i będą pracować w trudnych warunkach, muszą więc nie tylko gdzieś mieszkać, ale także odpoczywać, rozerwać się, móc kupić za zarobione pieniądze to, co im potrzebne. Szukamy wyjścia z tej trudnej sytuacji. Nie chciałbym się tłumaczyć kiedyś przed robotniczymi załogami, dlaczego nie wykorzystaliśmy środków na inwestycje towarzyszące zgodnie z ich przeznaczeniem. Przecież dostajemy te środki, by urządzić ludziom lepsze, wygodniejsze życie, ale same pieniądze jeszcze niczego nie załatwią...

IZABELLA CZAPLARSKA

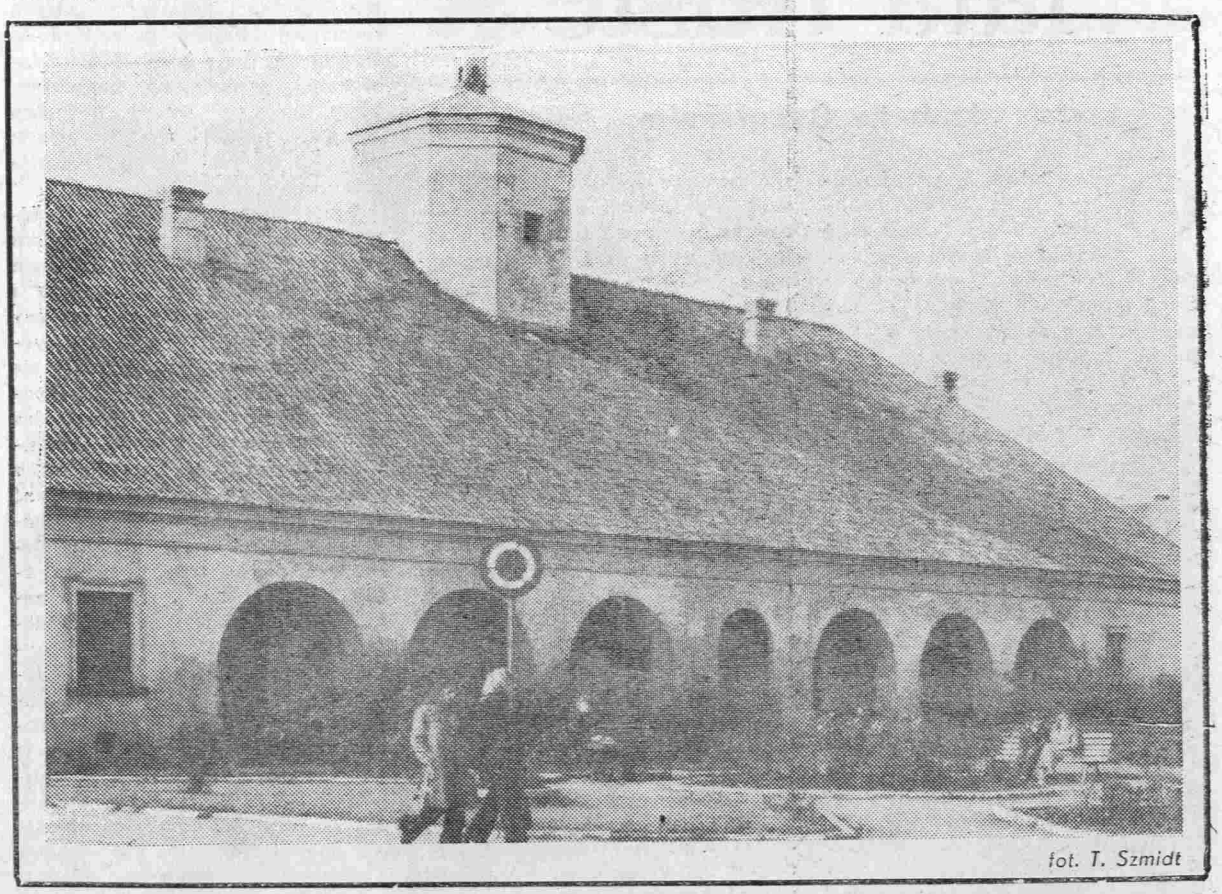

fot. T. Szmidt

KAZIMIERZ CHYŁA

Refleksje

Można żyć uczciwie jak dybał Iks, ale co to za życie.

* ★ *

Można odkrywać poznane już lądy. Pod warunkiem jednak, że dostrzega się więcej niż ich poprzedni odkrywcy.

* ★ *

W sposób agresywny głosi swoje poglądy. Sądzi, że dzięki temu ktoś je zaakceptuje.

* ★ *

Jeśli szukasz prawdy w winie, poprzestań na jednej lampce.

film amatorski

Czy ilość przejdzie w jakość?

Nie jest zapewne dla nikogo tajemnicą, że w naszym województwie działa aż kilkanaście amatorskich klubów filmowych. Wielu młodych filmowców ma już za sobą dyplomy uznania a także nagrody uzyskane w silnej konkurencji podczas ogólnopolskich przeglądów filmów amatorskich. Filmy kieleckich amatorów trafiały tam jednak na zasadzie przypadku, próby ogarnięcia całej

twórczości filmowej regionu nie były podejmowane. Nic więc dziwnego, że w tym roku kierownictwo WDK postanowiło zorganizować pierwszy wojewódzki przegląd filmów amatorskich, który w grudniu 1974 roku doszedł do skutku.

Amatorzy filmowcy Kielecczyzny przywieźli na ten pokaz 17 filmów, którym wypada poświęcić trochę uwagi. Otóż zaprezentowane podczas przeglądu filmy miały w większości charakter dokumentalny. Tematyka? Od wydobywania kamienia budowlanego poprzez okolicznościówkę na Dzień Odlewnika, sprawozdanie filmowe z zebrania organizacji partyjnej Skarżyska przed VI Zjazdem partii, dużo obrazków z okolic Żeromskiego, obrazki z różnych miast aż po dojrzałe etiudy tyczące pracy wiejskiego kowala i ludowej tkaczki.

Był także film fabularyzowany, nadesłany przez AKF „Tęcza" ze Skarżyska. Wprost trudno uwierzyć, by w ciągu paru minut (tyle trwa projekcja) dało się autorom zmieścić tyle złego smaku.

Jury najwyżej oceniło (poza, rzecz jasna, filmami kieleckiego AKF „Gong", który przedstawił zestaw dokumentów filmowych na poziomie niemal zawodowym) film nadesłany przez AKF z Opoczna, w reżyserii Jana Siempińskiego pt. „Kuźnia". Kilkuminutowy obraz z kuźni jest naprawdę dojrzałą etiudą filmową, pełną znakomitych obserwacji, pomysłów i, co najważniejsze, dyscypliny i konsekwencji autorskiej. Tu nie kamera rządziła autorami, a na odwrót; autorzy wiedzieli, co chcą z jej pomocą pokazać.

Nieco słabiej zaprezentował się film pt. „Tkaczka" przedstawiony pod firmą AKS „Relaks" działający przy MDK w Kielcach. Poprawny obraz nie został jednak wzmocniony głosem owej bohaterki-tkaczki ludowej z okolic Bodzentyna. Szkoda.

Film zaprezentowany przez AKF „Błysk" działający przy PDK w Busku pt. „Jak co roku" jest publicystyczną próbą pokazania rezultatów akcji „Kielecczyzna czysta i uporządkowana". Z filmu jednoznacznie wynikało, co autorów boli...

„Moje miasto" — to dobry, nawet bardzo dobry technicznie, barwny film przygotowany przez Andrzeja Kurbańskiego z AKF „Gong" (WDK — Kielce), przedstawiający niezwykle ciepło Kielce, które przecież mogą być ładnym miastem.

W sumie była to interesująca konfrontacja dorobku młodych filmowców. Należy się spodziewać, że za rok ilość przyjętych do przeglądu filmów zmieni jakość, co jednak nie będzie możliwe bez udziału samych filmowców, którzy przecież też się uczą (po pracy zawodowej) nowego rzemiosła.

W. BAR.

KINO w styczniu

Jak zwykle, w tegorocznym karnawale kinomani również otrzymają porcję tzw. godziwej rozrywki. Myślę, że będzie co oglądać, zwłaszcza wielbiciele angielskiej komedii nie będą mieli okazji do narzekań. Na nasze ekrany wchodzi bowiem barwna komedia Cliffa Owena pt. „Och, jaki pan szalony" z Dickiem Emerym w roli głównej.

Czegóż w tej komedii (jakże bliskiej naszym rodzimym cwaniakom sprzedającym z powodzeniem kolumnę Zygmunta mniej cwanym rodakom) nie ma? Jest przede wszystkim pomysł, wokół którego kręci się cała fabuła filmu (cóż po komedii bez pomysłu?), pomysł może cokolwiek, jak na nobliwych Anglików, ekstrawagancki, ale oryginalny i zabawny. Bohater tytułowy — Dick Emery musi się nieźle napracować, wykazać wiele pomysłowości, by zdobyć numer konta bankowego, pod którym jego ostrożny przyjaciel umieścił pół miliona — wyłudzonych od ambitnego Włocha pragnącego wydać syna za angielską księżniczkę — funtów. Jakkolwiek akcja, jak zwykle zresztą u Wyspiarzy, rozwija się na początku dość ślamazarnie, to jednak po tym przydługim cokolwiek wstępie, zaczynają się dziać, już w bardziej szybkim tempie, różne zabawne rzeczy. Są więc dwie konkurujące ze sobą bandy (w tym jedna autentyczna mafia rezydująca na Wyspie), kilka niezwykle przystojnych blondynek oraz zagubiony w tym wszystkim Charlie, czy Dick Emery, w potrzebie występujący jako dostojna angielska lady (lub policjantka — na zdjęciu). Trzeba przyznać, że raz lub dwa razy do roku Anglikom udają się komedie. „Och, jaki pan szalony" wypada zaliczyć właśnie do tych udanych.

Zwolennicy sensacji mogą — jak myślę — obejrzeć amerykański dramat sensacyjny George'a Scotta „Śmiercionośny ładunek". Jakkolwiek film ten razi nieco naiwnością fabuły — farmer, na którego pole wojskowy helikopter zrzuca przypadkowo ów śmiercionośny ładunek, w wyniku czego umiera mu 12-letni synek, postanawia na własną rękę dokonać zemsty na całym pobliskim, wojskowym ośrodku doświadczalnym — to jednak rzecz cała jest w dzisiejszych czasach co najmniej prawdopodobna i dosyć dobrze warsztatowo skonstruowana.

„Jeremiah Johnson" — film będący swego rodzaju balladą o twardym człowieku — traperze na dalekiej północy, nie jest czymś nowym w amerykańskiej kinematografii. Trudności w porozumiewaniu się między białymi a Indianami stanowią obsesyjny chyba temat, nadużywany wręcz przez amerykańskie kino. Traper — gra go Robert Redford — otrzymuje w prezencie od Indian kobietę, którą później pokocha prawdziwie. Stara się także, jeżeli nie polubić, to przynajmniej zrozumieć wszystkich innych Indian. I kiedy wydawało się, że jest tego bliski, popada w konflikt: prowadząc ekspedycję nie uszanował starego indiańskiego cmentarza. Zemsta Indian jest straszna, podobnie zresztą jak rewanż Johnsona. Trudno tu cokolwiek mówić o ostatecznej wymowie filmu zrealizowanego przez Sydney'a Pollacka — ale... spróbujcie Państwo sami odpowiedzieć na te wątpliwości.

Naszą rodzimą kinematografię reprezentuje komedia Stanisława Bareji, do której dialogi pisali: Stanisław Bareja, Jacek Fedorowicz, Jerzy Dobrowolski i Stanisław Tym pt. „Nie ma róży bez ognia". Sądząc po nazwiskach współtwórców tej komedii — mogła to być bomba śmiechu. Ale, niestety, nie jest — tak się jakoś dziwnie składa — jakkolwiek wiele scen ma ten film autentycznie zabawnych, wziętych — jak to się mówi — z samego życia. Jednak to, co było dobre w „Skarbie" (kłopoty mieszkaniowe w zburzonej przez wojnę Warszawie), nie musi być zabawne dziś. Oglądając lokalowe perypetie bohaterów tej komedii bardziej nam do płaczu niż do śmiechu.

Film ratują jednak (niekiedy z powodzeniem) sławni wykonawcy, a jest ich rzeczywiście spora gromada: Jacek Fedorowicz, Halina Kowalska, Jerzy Dobrowolski, Stanisława Celińska, Mieczysław Czechowicz, Stanisław Tym, Wiesław Gołas, Bronisław Pawlik, Jan Kobuszewski, Wojciech Siemion, Jadwiga Chojnacka, Wojciech Pokora, Bohdan Łazuka, Jan Himilsbach i inni.

Reżyser Bareja zapowiada następny film; miejmy nadzieję, że nie będzie to znowu komedia...

ST. KLATKA

noty, fakty ciekawostki rozrywka

NA OKŁADCE:

Zdjęcie kolorowe na str. 1 — CAF, rysunki na stronach 16 — 17, ozdobniki przy tytułach (dekoracyjne motywy kwiatowe w architekturze wczesnego gotyku) oraz rysunek na str. 32 (ratusz w Szydłowcu) — H. Papierniak.

W jednym zdaniu

◎ *Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach — największy zakład produkcyjny Kielecczyzny — zawarła porozumienie z Politechniką Świętokrzyską, której naukowcy podjęli się prac badawczych nad zastosowaniem tworzyw sztucznych w produkcji samochodów.*

◎ *Zygmunt Kaczor i Stefan Maj — znani rzeźbiarze kieleccy — wystawiali swoje prace w Oslo, podczas obchodzonych tam Dni Kultury Polskiej.*

◎ *Z załogą kieleckiego „Chemaru" spotkał się członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Edward Babiuch, który udekorował sztandar zakładu Orderem Sztandaru Pracy II klasy.*

◎ *W pierwszych dniach grudnia na koncie Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia znajdowało się 82.160 tys. zł wpłaconych przez mieszkańców Kielecczyzny.*

◎ *25 obrazów kieleckiej artystki-plastyczki, Heleny Naksianowicz, przedstawiono na indywidualnej wystawie collage'ów w Galerii „Rytm" w Krakowie.*

◎ *1500 uczestników z 250 placówek bibliotecznych wzięło udział w zorganizowanym przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Kielcach konkursie czytelniczym „Polska Ludowa w reportażu".*

◎ *Nad montażem filmu o Dniach Przyjaźni Kielce—Magdeburg (czerwiec ub. roku) pracują kieleccy filmowcy w amatorskim klubie „Gong".*

◎ *Historię skalnictwa i obróbki kamienia pińczowskiego, znanego już w XIV wieku (z tego kamienia zbudowano krakowskie Sukiennice, część Wawelu i Pałac Dożów w Wenecji), opracowuje Stanisław Oterman, mieszkaniec nadnidziańskiego grodu.*

◎ *W radomskim Klubie Kultury „Relaks" otwarto interesującą wystawę fotograficzną ukazującą przemiany w życiu i architekturze Radomia.*

◎ *Tylko czterech przedstawicieli (Zb. Kurkowski, K. Jackowski, L. Pińkowski i K. Mańczyński) licznego grona plastyków kieleckich wzięło udział w XII ogólnopolskiej wystawie malarskiej „Bielsku Jesień — 74".*

◎ *Ponad 100 tysięcy zwiedzających przyjęło w minionym roku Muzeum Świętokrzyskie.*

◎ *W województwie kieleckim znajduje się 35 rezerwatów przyrody (leśne, stepowe, florystyczne, torfowiskowe, solniskowo-wodne, krajobrazowe i przyrody nieożywionej), a projektuje się utworzenie dalszych 30.*

◎ *Kilka dużych rzeźb kamiennych przybyło stolicy województwa w wyniku tegorocznego, drugiego z kolei, pleneru rzeźbiarskiego.*

◎ *„Przy pomocy plakatu albo wykrzyknąć, albo wyrazić szeptem, ale nie opowiadać, na to jest w dzisiejszym świecie za mało czasu"... — tak charakteryzował swą twórczość Jaroslav Sura, czeski grafik, którego plakaty muzyczne podziwiano na wystawie w zakładowym klubie kultury przy Fabryce Nadwozi Samochodowych w Kielcach.*

◎ *Praca kieleckiego fotografika „Echa Dnia", Jerzego Burczyna, wyróżniona została na XXV Międzynarodowym Salonie Fotograficznym w Singapurze.*

⊙ *W styczniu Teatr im. S. Żeromskiego prezentuje: w Kielcach „Dom Bernardy Alba" (F. G. Lorca) i „Przygody zbója Madeja" (L. Legut) oraz gościnny występ aktorów łódzkich w „Ludziach bezdomnych" (21—23 stycznia), w Radomiu „Sułkowskiego" i „Dom Bernardy Alba", w terenie — jak w Kielcach.*

Stanisławowi CZERNIKOWI

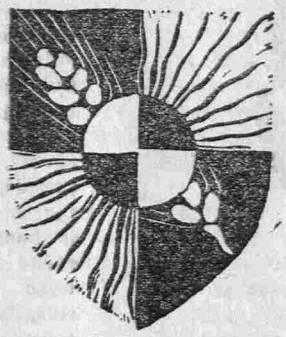

W 5 rocznicę śmierci Stanisława Czernika

„... Z tego poglebia wyniosłem ludzki kult słowa i obciążony takim dziedzictwem, próbowałem — w zastępstwie, ciągle w zastępstwie — mówić w imieniu tych, którzy nie mogli lub nie umieli się wypowiedzieć. Z wiarą, że wyrażam prawdę w ostateczne zwycięstwo Człowieka nad człowiekiem. Bez tego — nic". Bardzo piękny, odpowiadający prawdzie, autoportret naszego Wielkiego Rodaka — STANISŁAWA CZERNIKA.

Stanisław Czernik to wielka postać współczesnej literatury i poezji ludu. Ceniono Go, i ceni się tym bardziej teraz — za jego twórczość, za piękne wiersze, za prozę, za prace naukowe — za prawość i rzetelność, za życzliwość i serce. Autor „Okolicy poetów", „Starego złota", esejów pt. „Trzy zorze dziewicze" oraz wydanej tuż przed śmiercią książki „Dzień przed żniwami" i wielu innych utworów — okazywał wielką życzliwość i serce dla kolegów. Otaczał opieką młodych twórców. Bardzo wielu z nich może go nazwać swoim promotorem.

Redaktor Wydawnictwa Łódzkiego, Tadeusz Papier, tak wyraża swój szacunek dla byłego prezesa łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich i serdecznego kolegi: „Nie wymieniam mojej legitymacji na nową, mimo iż jest mocno sfatygowana. Chcę ją zachować do końca z podpisem Czernika". Czy trzeba mówić więcej?

3 grudnia ub. roku minęło pięć lat od śmierci Stanisława Czernika.

W dniach 14—15 grudnia Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego w Łodzi, Oddział łódzki Związku Literatów Polskich przy współudziale Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i redakcji „Tygodnika Kulturalnego" zorganizowali sesję poświęconą Stanisławowi Czernikowi.

W czasie sesji wygłoszono szereg odczytów. Kazimierz Świegocki — „Życie i twórczość Stanisława Czernika — stan badań", Wioletta Krawczyk — „Stanisław Czernik jako badacz i popularyzator folkloru", Mieczysław Kuna — „Nad korespondencją Stanisława Czernika".

Odbyła się też wzruszająca uroczystość nadania imienia Stanisława Czernika Dzielnicowej Bibliotece Publicznej Łódź-Bałuty, potem w sali odczytowej tej biblioteki — wieczór poezji Stanisława Czernika.

Imponujący dorobek twórczy Stanisława Czernika i recepcję tego dorobku pokazano na wystawie w ścisłym powiązaniu z życiem autora „Ręki". Wystawa była nieodłączną częścią sesji, poświęconej życiu i twórczości Stanisława Czernika. Miała ona na celu przywołanie przed oczy zwiedzających trwałych wartości literackich i ukazanie żywego społecznie kultu dla pisarza.

hall

„Trubadurzy show"

Jubileuszowy koncert „Trubadurów" przyciągnął do małej salki kinowej WDK wielu miłośników dobrej muzyki i tego właśnie zespołu. I nic dziwnego, „Trubadurzy" bowiem wystąpili w swym pierwszym (najbardziej popularnym) składzie.

Przybyli więc: 28-letni nestor polskiej piosenki — Ryszard Poznakowski, oryginalny, obecnie samotny piosenkarz — Krzysztof Krawczyk, jedyny trubadur wierny swemu zespołowi — Sławomir Kowalewski oraz trubadur w spódnicy — Halina Żytkowiak.

Nowy narybek to młodzi ludzie na czele z Tomaszem Rostkowskim, który dawniej koncertował z Asocjacją Hagaw i zespołem „Dwa plus jeden".

Dwie godziny dobrej muzyki, kilka miernych dowcipów i wspaniała druga (choć nie rozdzielona przerwą) część występu — część wspomnieniowa, czyli „Trubadurzy" sprzed paru lat, w swych piosenkach będących kiedyś szlagierami, choć i teraz z przyjemnością słuchanych. A ponadto dużo nowych, też niezłych utworów. Ciekawie wypowiada się Sławomir Kowalewski na temat mody w swej piosence „Mini, midi, maks". Jako wspaniały wokalista dał się poznać w piosence „Alma Ata", którą skomponowali „Trubadurzy" w czasie długiego tournee po republikach ZSRR.

Złego mają „Trubadurzy" tylko „inżyniera-akustyka", który nie potrafił (bądź robił niemiłe dowcipy) odpowiednio uregulować dźwięku, toteż i dźwięk, i słowa piosenek były bardzo zniekształcane. Czy nie można zabawiać się raczej na próbach (oczywiście, gdy zgodzą się muzycy) niż na koncercie?

Słowa uznania należą się zaś organizatorom imprez z kieleckiej „Estrady", którzy postarali się o tygodniowy pobyt i występy „Trubadurów" po Kielecczyźnie.

hall

„Tu się liczy wszystko"

Z przyjemnością prostujemy, że współpraca władz Kozienic znakomicie układa się na płaszczyźnie budownictwa mieszkaniowego w Kozienicach nie z Kombinatem Budownictwa Mieszkaniowego w Radomiu lecz z Radomskim Przedsiębiorstwem Budowlanym w Radomiu. Za pomyłkę przepraszamy załogę i dyrekcję RPB licząc, że również w przyszłości współpraca z Kozienicami będzie układała się pomyślnie.

MINIBAJECZKA

NA FRASUNEK

Kiedy myszy wytruto,
wódkę zaczął pić kotek.
— Przynajmniej białe
myszki — tłumaczył —
widzę potem.

Wystawa ekslibrisu radzieckiego

Biblioteka Główna Wyższej Szkoły Pedagogicznej wraz z Oddziałem Kieleckim Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich zorganizowała Wystawę Ekslibrisu Radzieckiego, z kolekcji Barbary i Czesława Erberów. Prezentowana w listopadzie i grudniu ub. roku jest trzecią kolejną w bieżącym roku akademickim i pierwszą z cy-

INFORMUJEMY,

że redakcja dysponuje spisem treści naszego miesięcznika za rok 1974. Prenumeratorzy otrzymają spis treści z numerem styczniowym, zaś wszyscy zainteresowani mogą zgłaszać się listownie, telefonicznie lub osobiście do redakcji.

klu poświęconego grafice związanej z książką. Temat i charakter ekspozycji rozszerza spojrzenie na zakres i rodzaj związków między kulturą polską i narodów ZSRR.

Wśród grona artystów zagranicznych, których wystawy były pokazane w ostatnich latach w Polsce, twórcy ekslibrisu radzieckiego zajęli wyjątkowe miejsce. Mam tu na uwadze zarówno pokazy prac twórców indywidualnych, jak też wystawy zbiorowe. Ostatnie lata były też potwierdzeniem szeregu kontaktów artystycznych i kolekcjonerskich z artystami radzieckimi.

Artyści Związku Radzieckiego — kraju o ogromnym obszarze terytorialnym — podlegają różnym wpływom kulturowym, co jest zupełnie naturalne w przypadku kraju zfederalizowanego. Inaczej tworzą Litwini, inaczej Armeńczycy, jeszcze inaczej moskwianie.

Na wystawie tej znajdowały się liczne polonica-ekslibrisy artystów radzieckich dla polskich bibliofilów.

hall

„Jajo" niezaangażowane

Od kilku lat mówiło się, że przy radomskiej wyższej uczelni istnieje studencki kabaret „Jajo". Ktoś podobno nawet widział produkcje owej grupy happeningowej, ale wkrótce wszystko się rozpadło, słuch zaginął i z dawnego zespołu pozostała tylko nazwa.

„Nowi ludzie" kabaretu to autor scenariusza i reżyser — Andrzej Daumas, wspomagający go tekstami — Marek Srocki i Stefan Ankiewicz, dwaj następni wykonawcy: Andrzej Majewski i Marian Makara oraz akompaniujący całej piątce pianista Marek Cichocki. Ich to zasługą jest, że po trzech latach istnienia kabaret zaprezentował wreszcie premierę. Choć malkontenci mogliby doszukiwać się wielu usterek w programie zatytułowanym „Przepraszamy za usterki", to już sam fakt inauguracyjnego występu należy odnotować jako wydarzenie. Nie najbogatsze jest przecież życie kulturalne środowiska radomskich studentów.

W spektaklu kabaretu „Jajo" ramę stanowi program telewizyjny z jego żelaznymi pozycjami: dziennikiem, serialami, profesorem Zinem i festiwalem piosenki. Temat to nie nowy. Krytykowanie telewizji jest rzeczą wdzięczną, a wszelkie parodie i „telewizyjne" skecze zawsze mogą liczyć na życzliwe przyjęcie.

W sumie kabaret „Jajo" bawi, ale zbyt rzadko chyba sięga po ostrze satyry, nie angażuje się w problemy kraju, miasta czy, najbliższego przecież, własnego studenckiego światka. I choć z estrady padają czasem tak zwane mocne słowa, jest „Jajo" za grzeczne jak na studencki kabaret. A szkoda. Przyczyna, być może, tkwi w tym, że studenci stanowią zdecydowaną mniejszość w składzie osobowym kabaretu. Dziwne to, ale prawdziwe.

(ward)

Tak... ale niezupełnie

Na początku roku dość szeroko pisaliśmy o perspektywach rozwoju bazy radiowo-telewizyjnej w naszym województwie. Czy program ten został zrealizowany? Tak... ale niezupełnie. Otóż rozgłośnia PR w Kielcach istotnie została zbudowana, jednakże prace wykończeniowe przeciągają się dłużej niż zakładano: instalacje prototypowego, krajowego sprzętu pochłaniają sporo czasu, ale — kto wie — być może program sylwestrowy koledzy-radiowcy przygotują i nadadzą z nowego locum.

Również przeciągnęły się prace inwestycyjne przy budowie radiostacji lokalnej w Starachowicach. Nie mniej — jak utrzymuje kierownik Centrum Radiowo-Telewizyjnego w Kielcach, Mieczysław Sołtys — wszystko wskazuje, że w dniu wyzwolenia Starachowic (pierwsza połowa stycznia) kolejna radiowa stacja nadawcza o mocy 10 kilowatów rozpocznie pracę na falach średnich. Wnętrze radiostacji urządzono ze smakiem i troską o warunki pracy dyżurującej załogi. Maszt i nadajnik są już na miejscu, w końcu grudnia rozpocznie się próbna emisja II programu (lokalnego) radiostacji w Starachowicach.

Spaliły jakoś na panewce plany uruchomienia II programu telewizyjnego w IV paśmie. Skończyło się na przygotowaniu masztu do zainstalowania dodatkowych anten. Anten nadawczych dla IV pasma nie zainstalowano, brakuje także 40-kilowatowego nadajnika. Mamy tu więc do czynienia ze zjawiskiem tzw. poślizgu (chyba kontrolowanego). Warszawski ZARAT stanowczo jednak podtrzymuje termin (1974 rok) dostarczenia na Święty Krzyż 20-kilowatowego rezerwowego nadajnika dla I programu TV.

Należy jednak podkreślić, że mimo braku nadajnika rezerwowego dla I programu telewizyjnego załoga Św. Krzyża utrzymywała wysłużoną „Teslę" (pracującą na trzecim kanale) w znakomitej kondycji technicznej. Przerw w emisji I programu nie zanotowaliśmy. Oby tak dalej...

W.B.

Studio 2

Telewizja w programie 2 (który w zasadzie niczym się nie różni od programu 1, tyle, że jest zwykle trochę gorszy) w ostatnim dniu listopada pokazała wreszcie „lwi pazur". Ci wszyscy, których nie poniosło na „Andrzejki", lub których poniosło i przyniosło ponownie do domu, mieli wreszcie okazję obejrzeć program pomysłowy i inteligentnie zredagowany, przy czym wartki jak górski strumień, dosłownie pomysł gonił pomysł, nawet tchnące zwykle nudą rozmowy przed kamerami oglądało się z zainteresowaniem.

Jednym słowem to było to. Zachodzi jednak obawa, że autorzy „studia 2" wyczerpali się tą audycją tak dalece, że na kolejny tego rodzaju program trzeba będzie trochę poczekać. A szkoda, bo w gruncie rzeczy skonstruowanie dobrego programu w TV nie przekracza ludzkich możliwości. Wystarczy trochę pomyśleć, poszperać w archiwum, posadzić przed kamerą Bożenę Walter, Tomasza Hopfera, red. Mikołajczyka, i jazda. Czekamy.

W.B.

Spotkania literackie

Z okazji dekady książki społeczno-politycznej pow. opatowski zorganizował szereg spotkań autorskich z pisarzami naszego województwa. Szczególnie uroczystą oprawę miały spotkania w Baćkowicach, Łagowie, Waśniowie, Szewnej, Gierczycach i Ożarowie. Natomiast Miejska Biblioteka Publiczna w Ćmielowie wspólnie z klubem zakładów porcelany zorganizowały spotkanie połączone z wieczornicą literacką poświęconą twórczości wybitnego poety Stanisława Czernika, który urodził się w Zochcinie koło Opatowa. W uroczystej wieczornicy obok władz miejscowych uczestniczyła rodzina St. Czernika.

Spotkania łączyły się zawsze z udziałem naczelników gmin i czasem sekretarzy KG PZPR. Zainteresowanie obchodami dekady książki społeczno-politycznej nie jest jednorazowe. Podinspektor W. Słapek, odpowiedzialny za kulturę, stwierdza zmianę klimatu, która wyraża się konkretną pomocą w zakresie bazy lokalowej, zakupu sprzętu, zwiększonych dotacji. Na opatowskiej wsi rozpoczął się ruch w kierunku nowego, który, być może, rozprzestrzeni się na inne powiaty.

lektury

Powstanie styczniowe

Od wybuchu powstania styczniowego minęło już 110 lat, a jest ono wciąż żywe w polskiej historiografii. Na początku lat sześćdziesiątych z okazji okrągłej rocznicy ukazało się sporo interesujących opracowań, a wśród nich książka Stefana Kieniewicza „Chłopi i sprawa polska w powstaniu styczniowym". Obecnie Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało interesującą pozycję Witolda Dąbkowskiego pt. *„Powstanie styczniowe w Puszczy Kozienickiej"*.

Stefan Kieniewicz we wstępie pisze, że książka niniejsza „wykracza daleko poza aspekt wyłącznie regionalny". Składa się na to kilka przyczyn: Witold Dąbkowski bohaterem swoich rozważań naukowych uczynił pułkownika Czachowskiego, postać najbarwniejszą i jednocześnie najbardziej kontrowersyjną. Dionizy Czachowski był dowódcą pod każdym względem nietypowym: starszy wiekiem, bez wyszkolenia wojskowego, mało znany i reklamowany, bez wsparcia z zewnątrz, zdany na siebie samego w Puszczy Kozienickiej, regionie szczególnie bogatym w ruchy partyzanckie powstania styczniowego. Miał więc ten nietypowy partyzant do swojej dyspozycji ogromne lasy i chłopów, którzy przecież nie zawsze byli skłonni popierać powstańców.

Dąbkowski dokonuje szczegółowej analizy, przedstawia teren, ludzi, uzbrojenie, tradycje i boje. Umiejętnie wykorzystuje materiał dokumentalny, ostrożnie wysuwa hipotezy, logicznie wiąże je z analizą społeczną i wyciąga ciekawe wnioski. Do najbardziej interesujących i nowatorskich zaliczyć należy rozdział nazwany przez autora „Wyrównane rachunki", gdzie opisał ostatnią kampanię Czachowskiego i jego dramatyczną śmierć.

Relacjonuje adiutant — *„byłem przy Czachowskim dowodząc broniącymi go. Wtem koń jego dostał postrzał i zwalił się w biegu. Zdołałem podać mu konia, z którego spadł ranny podoficer Charzewski, ale w chwili gdy nań siadał, otrzymał postrzał w szyję. Instynktem honoru, chociaż nie nadzieją ocalenia, otoczyliśmy go. Równocześnie na związanych walką z dragonami Medianowa powstańców uderzył z boku ścigający ich Assiejew.*

(...) Przyjęliśmy tę nawalnicę ostatkiem strzałów, lancami, palaszami, czym kto miał. Ale i tak niedługo zmasakrowali nas, wszystko trwało zaledwie parę minut. Mimo nawoływań Assiejewa, aby brać żywcem, dragoni formalnie rozsiekli Czachowskiego".

Męciński nie opisuje więc dokładnie śmierci pułkownika, który podobno nie zdoławszy już dosiąść konia, uskoczył pod rosnącą przy drodze gruszę polną. *„Tam zaś oparłszy się plecami o pień drzewa, strzałami z rewolweru i młyńcem szabli bronił się hurmie dragonów, którzy pozeskakiwawszy z koni lecieli na niego. Wkrótce jednak dosięgnął go cios szabli, a wachmistrz dragonów wpakował mu w bok kulę z rewolweru"*.

Zginęli pod Wierzchowiskami, zaledwie parę kilometrów od dzisiejszego miasta powiatowego — Lipska. Powstanie styczniowe ma swoją barwną, romantyczną kartę walki o niepodległość, było ostatnim zrywem polskim w XIX wieku. I tak jak wszystkie powstania, od kościuszkowskiej insurekcji z końca XVIII wieku, poprzez udział w kampanii napoleońskiej, w listopadowym, krakowskim i „Wiośnie Ludów", tak i to skończyło się klęską, wyjątkowo dramatyczną.

(pas)

W Ostrowcu Św. do ciekawszych należało spotkanie w Klubie „Perspektywy". Młodzież żywo reagowała na prezentowaną twórczość i wykazywała dużą znajomość współczesnej literatury. Wśród organizatorów spotkań z okazji dekady książki społeczno-politycznej były jeszcze: miasto Kielce i powiat. Natomiast pozostałe powiaty województwa kieleckiego nie odczuwały takiej potrzeby, jak kontakt z pisarzem, rozmowa, dyskusja itp. Można przypuszczać, że dekadę przedrzemano w błogim nastroju. (pas)

Uczeni i adept

Radom gościł uczestników ogólnopolskiej konferencji sprawozdawczej Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk. W sali Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy zabierało głos ponad czterdziestu badaczy aby w krótkich, dziesięciominutowych sprawozdaniach podsumować wyniki rewelacyjnych często prac wykopaliskowych prowadzonych w latach 1973—74.

Kilka referatów dotyczyło stanowisk z terenu naszego województwa np.: kopalni krzemienia w Tomaszowie Lub. Szydłowiec badanej przez doc. dra R. Schilda oraz wczesnośredniowiecznych zespołów osadniczych: w Sandomierzu, gdzie kierował wykopaliskami doc. dr S. Tabaczyński i Radomiu, gdzie prowadzi badania mgr E. Kierzkowska - Kalinowska. Przedstawiono również wyniki prac polskich ekspedycji wykopaliskowych we Francji, Bułgarii, Egipcie, Jugosławii oraz na terenie Węgier i Włoch.

Urozmaiceniem naukowych obrad było wystąpienie ucznia I Liceum — Wojciecha Pawelca, który demonstrował zebranym zagadkowe kamienne kule (przedmioty kultu?) odnalezione na bogatych archeologicznie terenach okolic Małogoszcza. (ward)

A może oddział ZKP

Mamy w Kielcach trzech kompozytorów, członków ZKP. Karol Anbild, Mirosław Niziurski i Janusz Woś działają na tym polu owocnie od szeregu lat. Każdy z nich co pewien czas prezentuje publiczności jakiś nowy utwór, często nawiązując do bogactw kulturowych świętokrzyskiej krainy. Są zatem mocno zakorzenieni w środowisku. Zamierzają zinstytucjonalizować swą pracę twórczą przez powołanie Oddziału Związku Kompozytorów Polskich. Aby to jednak było możliwe, potrzeba powiększyć ich grono do liczby pięciu. Oby powiodło się im lepiej niż kieleckim literatom!...

Ś. Kr.

Telegraf

Mamy w Kielcach wzgórze Telegraf, na którym można nieźle pojeździć na nartach, lecz jest ono dość wysokie. Dużo czasu i wysiłku trzeba włożyć w wejście na sam szczyt. Marzy nam się urządzenie, przy pomocy którego można by szybko dostać się na górę.

WOSTiW — główny gestor inwestycji sportowych — podjął się w tym roku na Telegrafie wykonać jedyny na Kielecczyźnie wyciąg orczykowy. Po wielu staraniach wykonano dokumentację, znaleziono budowlanych wyspecjalizowanych w montowaniu tego typu urządzeń oraz wytwórców samej konstrukcji.

Roboty rozpoczęto w ubiegłym roku z myślą o ich zakończeniu przed bieżącym sezonem narciarskim. Sezon w pełni, a wyciągu nie ma. Gotowa jest już trasa wyciągu wraz ze stacją napędową, lecz pracy zostało jeszcze wiele. A może mile zaskoczą nas wykonawcy? Oby. hall

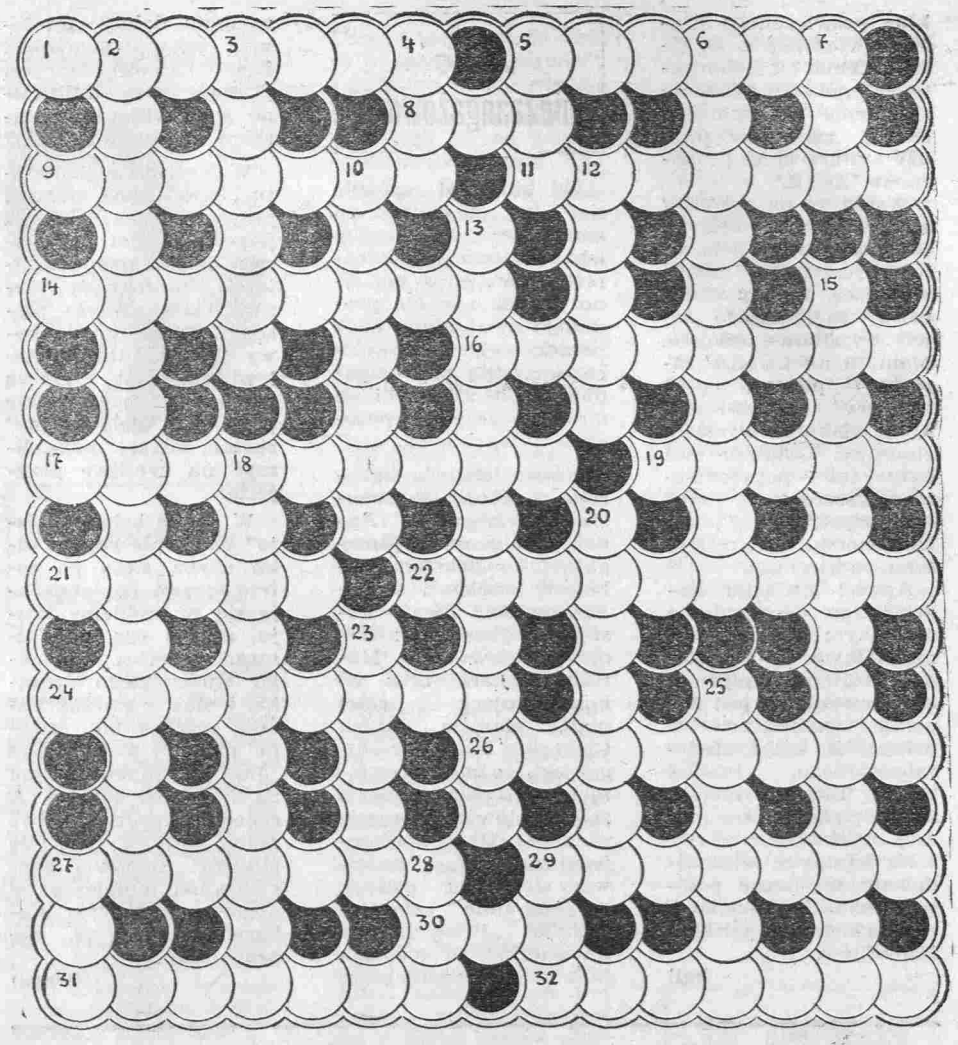

KRZYŻÓWKA 52

POZIOMO: 1) ogrodzenie, w którym psy szczekają, 5) bociania melodia, 8) domena Arymana, 9) Polki sąsiadka przez Bałtyk, 11) wędkarska sygnaturka, 14) mieszkanka nadodrzańskiej metropolii wojewódzkiej, 16) z historii znamy pospolite, 17) oszukiwanie obietnicami, 19) liryczny utwór literacki wzorowany na pieśniach biblijnych, 21) imię męskie niepopularne od ostatniej wojny światowej, 22) sukmana, 24) bulwa, której nasz kraj jest producentem czołowym, 26) zażyłość, 27) przemysłowa dzielnica i port Londynu, 29) rodzaj lirycznego wiersza albo krótka kompozycja o śpiewnym charakterze, 30) ceremonia, 31) grzechotka budząca mnichów, 32) widziana, zaobserwowana scenka.

PIONOWO: 2) przenoszenie kogoś na nowe miejsce pobytu, 3) tytułowy bohater opery Verdiego, 4) dziewczęce imię łęckiej (w „Lalce"), 5) ptak-śpiewak, 6) najpłodniejszy klasyk polskiej powieści, 7) chemiczny środek czyszczący, 10) parlament USA, 12) surowiec na misia, 13) żywicielka, 15) doglądanie, opiekowanie się, 18) znająca wiele powierzchownie, 20) półsen, 23) obręb, zakres, 25) meteorologiczna, nadawcza, obsługi, 27) przed Stwoszem, 28) kapral na okręcie, 29) pytanie mianownika.

Uwaga: 27 poz. — West Ham.

Między czytelników, którzy do 15 stycznia nadeślą rozwiązanie, rozlosujemy 500-złotowy bon towarowy. Pod adresem redakcji („Przemiany", ul. Śniadeckich 2, 25-366 Kielce) prosimy dopisywać: Krzyżówka 52.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 51

POZIOMO: skarpa, harcerze, import, marzenie, marynarka, trawnik, karnacja, rwetes, etap, niwa, struna, szkarłat, szantaż, Eurypides, sztandar, głusza, armator, Baryka.

PIONOWO: kombatant, pirania, aparat, cenzura, zgięcie, kraj, rzepak, Wiener, Neptun, chmura, arras, Si, as, wianeczek, czaszka, zero, ampułka, turnia, żelazo.

NAGRODĘ (50-złotowy bon towarowy) wysyłamy Małgorzacie Gluth z Kielc, ul. T. Kościuszki 5.

Święto w „Merkurym"

Ten wielce zasłużony dla kultury środowiskowej klub handlowców obchodził niedawno skromny jubileusz 10-lecia. Jak zwykle na imprezę w „Merkurym" przybyło sporo gości. Klub pękał w szwach, ale nikogo to nie dziwiło, bowiem uroczysta akademia prowadzona przez Jana Goca i kierownika klubu Szymona Szymańskiego dość daleko odbiegała od przyjętego stereoty-

przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny. Zespół redakcyjny: Wiesław Barański, Władysław Grabka (sekretarz redakcji — tel. 501-58), Irena Jarosz, Henryk Papierniak (opracowanie graficzne), Bogdan Pasternak, Stanisław Rams, Tadeusz Szwej (redaktor naczelny — tel. 503-72) Korekta: Halina Lipiec.

Adres redakcji: ul. Śniadeckich 2, 25-366 Kielce, tel. 503-72, 501-58.

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch" Kielce, pl. Obr. Stalingradu 2. Zamówienia i przedpłaty na **prenumeratę** przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszonej prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu" w całym kraju (Instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa—Książka—Ruch" Urzędy pocztowe przyjmują prenumeratę w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW). Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21, półroczna — zł 42, roczna — zł 84. Prenumeratę z wysyłką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 konto PKO nr 1-6-100.024, telefon 20-46-88. Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch" Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 430-64.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch" w Kielcach. Nr ind. 37240/37143 Nakł. 21.230 M-2

pu: wprawdzie referat był z kartki (nawyk, to przecież druga natura), ale zawarte w nim tezy były bogato ilustrowane na wszelkie możliwe (i nie możliwe) sposoby. Do ilustracji też przyczyniły się wszystkie miejscowe kabarety, grupa baletowa (damska) wychowana niejako na piersi „Merkurego", a także Jan Pietrzak i profesor Stanisławski (ten od wyższości Świąt Wielkiej Nocy nad innymi świętami). Oprócz tego doszło do handlu bublami, toastów jogurtem oraz beztroskiego skandowania hasła okolicznościowego: „hej, hej — jubilej" wymyślonego na poczekaniu przez Goca, który po sukcesie odniesionym w „Banku Miast" (gdzie wygrał wraz z Pińczowem) stał się niezwykle pomysłowy i zadzierżysty.

Ponieważ jubileusz (skromny, bo skromny, ale prawdziwy) klubu nie został dostrzeżony przez tzw. animatorów kultury w UM, „Merkury" własnym sumptem wytłoczył w glinie sporych rozmiarów medale „Zasłużony dla Merkurego" i dosyć skąpo obdarował nimi Odpowiednie Osoby. Miło nam donieść, że jedną sztukę medalu wyniósł dumnie na swej piersi prezes kieleckiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, red. Andrzej Małachowski. Gratulujemy. odznaczonym oraz organizatorom.

P.S. Czy nie dałoby się jakoś urządzić jubileuszu 11-lecia „Merkurego"?

„Polska — nasza Ojczyzna"

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Kielcach wspólnie z Kuratorium Okręgu Szkolnego, Komendą Chorągwi ZHP i Zarządem Wojewódzkim ZSMW, pod patronatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego zorganizowała konkurs czytelniczy dla młodzieży szkolnej naszego województwa w wieku od 12 do 15 lat pod hasłem: *„Polska — nasza Ojczyzna"*.

Odbyły się eliminacje środowiskowe w 204 miejscowościach. Ostateczny wojewódzki konkurs zakończył tę imprezę w Skarżysku. Stanęło do niej 32 najlepszych nastolatków.

Pierwsze miejsce zdobył Piotr Słomka z Nowin k. Kielc, drugie Jerzy Markiewicz z Jasieńca pow. Zwoleń, a dwa trzecie miejsca Zbigniew Putowski z Jędrzejowa i Krzysztof Chylak z Przysuchy. Otrzymali oni cenne nagrody. hall

Rzeźbiarz nieznany

Wystawa mieści się w dwu niewielkich salkach Muzeum Regionalnego w Radomiu. Kilka uśmiechniętych gipsowych główek kobiecych, fotografie i dokumenty, obraz olejny, kobiecy portret w brązie, medaliony, blat intarsjowanego stołu — to właściwie wszystko co udało się odnaleźć z dorobku artystycznego radomskiego rzeźbiarza, Bolesława Zwolińskiego.

Nielicznym tylko znane było dotąd to nazwisko, chociaż monumentalne prace Zwolińskiego do dziś stoją w radomskich kościołach, odnaleźć je można wśród cmentarnych pomników, a do niedawna jeszcze widoczne były w wystroju kamienic. Nie wszystkie rzeźby Zwolińskiego przetrwały próbę czasu a tych, które pozostały, nikt z właściwym autorem nie kojarzy.

Przypomina o tym Anna Apanowicz, kustosz Muzeum Regionalnego w Radomiu, w wydanym z okazji wystawy opracowaniu: „Bolesław Zwoliński — rzeźbiarz radomski 1883 — 1944". Niemało trudu zadała sobie autorka, aby zgromadzić materiały dotyczące życia i pracy artysty. Głównie na podstawie ustnych informacji uzyskanych od krewnych i znajomych rzeźbiarza ustalono większość faktów.

Bolesław Zwoliński studiował w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych oraz w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Był projektantem wzorów w fabryce porcelany w Ćmielowie. W Szydłowcu wykładał w progimnazjum szydłowieckim i brał aktywny udział w życiu kulturalnym miasta. Według opinii znajomych i przyjaciół był to człowiek skromny, bezinteresowny, nie zawsze umiejący wykorzystać swoje zdolności. Uprawiał wiele dyscyplin sztuk plastycznych i rzemiosła artystycznego. Zajmował się artystyczną ceramiką dekoracyjną, komponował kilimy w oparciu o ludowe wzory, wykonywał kunsztowne, inkrustowane i intarsjowane niewielkie stoliki, które miały się znaleźć na Zamku Warszawskim. W Radomiu zamieszkał artysta po pierwszej wojnie światowej. Tutaj udzielał lekcji rysunku, malarstwa i rzeźby, a stworzył tu również swoje największe monumentalne rzeźby, akty, popiersia, epitafia, medaliony. Stąd też zabrało go gestapo, aby wywieźć do obozu w Grossrosen. Zginął w 1944 r.

Był Zwoliński artystą, którego prace stanowią najliczniejszy zespół rzeźb jednego autora w okresie międzywojennym w Radomiu. Wydaje się, że po radomskiej wystawie i opracowaniu, Bolesław Zwoliński — rzeźbiarz zapomniany, znów ożyje w pamięci.

(ward)

Czekamy na spódniczki

Na wspaniały pomysł wpadli dwaj pracownicy garbarni nr 6 kombinatu skórzanego „Radoskór" — kierownik zakładu Feliks Sztylka i inż. Jan Zabrzycki. Opracowali oni unikalną metodę garbowania odpadowych skór końskich na welury — materiał poszukiwany na modne obecnie spódniczki, kamizelki, rękawiczki dla kierowców itp. Kiedyś owe odpadowe skóry sprzedawano wytwórcom klejów, dziś do dyspozycji zakładów skórzanych oddaje się — z 5 kg surowca — 1 metr kwadratowy pięknych, produkowanych w różnych kolorach skór welurowych za ponad 200 złotych.

Produkuje się w tej chwili około 6 tysięcy metrów kwadratowych welurów z odpadów — w kolorach brąz, granat, zgniła zieleń. Trzeba nie lada speca, by stwierdził, że welur radomskich racjonalizatorów pochodzi z odpadowego surowca, a nie z pełnowartościowej skóry. A ponieważ skórzanego surowca nie mamy w kraju zbyt dużo, przeto pomysł pracowników radomskiej garbarni jest tym bardziej cenny. Czekamy kiedy w handlu pojawią się piękne, bajecznie kolorowe spódniczki.

hall

30-lecie Filharmonii

Podobnie jak aktorzy, muzycy kieleccy zaraz po wyzwoleniu wzięli się ochoczo do roboty. Sercem i mózgiem ich poczynań był znakomity organizator Marian Stroiński, pod którego batutą odbywały się koncerty w różnych salach miasta już w zimie 1945 r. Wspominają je z łezką nieliczni weterani owej pierwszej kieleckiej orkiestry symfonicznej.

Spadkobierczyni jej zasług i tradycji, Filharmonia im. Oskara Kolberga, przygotowuje uroczystości jubileuszowe, projektowane na luty lub marzec. Melomani cieszą się na ten koncert XXX-lecia, bo program jego ma wypełnić „Dziewiąta" Beethovena. Zabrzmi w Kielcach potężny hymn do Radości, Córy Bogów. Będzie to wydarzenie artystyczne pierwszorzędnej rangi, jako że każde wykonanie tego arcydzieła nawet w znacznie większych ośrodkach stanowi ewenement.

Ś. Kr.

nikami (z cyklu „opinie") ◆ St. Rams — Kariera ◆ Zdzisław J. Adamczyk — Żeromski w Rosji — Konterfekt Filharmonii ◆ St. Mijas — Wianek

Stanisław Mijas

Literacka geografia Kielecczyzny

SZYDŁOWIEC, miasto powiatowe w woj. kieleckim, w średniowieczu klucz dóbr kasztelańskich, własność rodu Odrowążów, nast. Szydłowieckich. Zamek z XV w., ratusz z XVII w. Miasto przeżywało rozkwit i było ośrodkiem kultury za mecenatu Szydłowieckich. Z Szydłowcem i ziemią szydłowiecką związani są pisarze: Hiacynt Przetocki (barokowy poeta i panegirysta), Feliks Gawdzicki (publicysta okresu sejmu czteroletniego), Wiktor Kozłowski (autor „Słownika leśnego, bartniczego, bursztyniarskiego i orylskiego" oraz „Pierwszych początków terminologii łowieckiej"), Michał Mosiołek – pisarz i działacz ludowy.

T. Palacz „Ziemia szydłowiecka w historii i kulturze Kielecczyzny" Szydłowiec 1971; O. Kolberg „Radomskie" t. 2 w: Dzieła wszystkie t. 21.

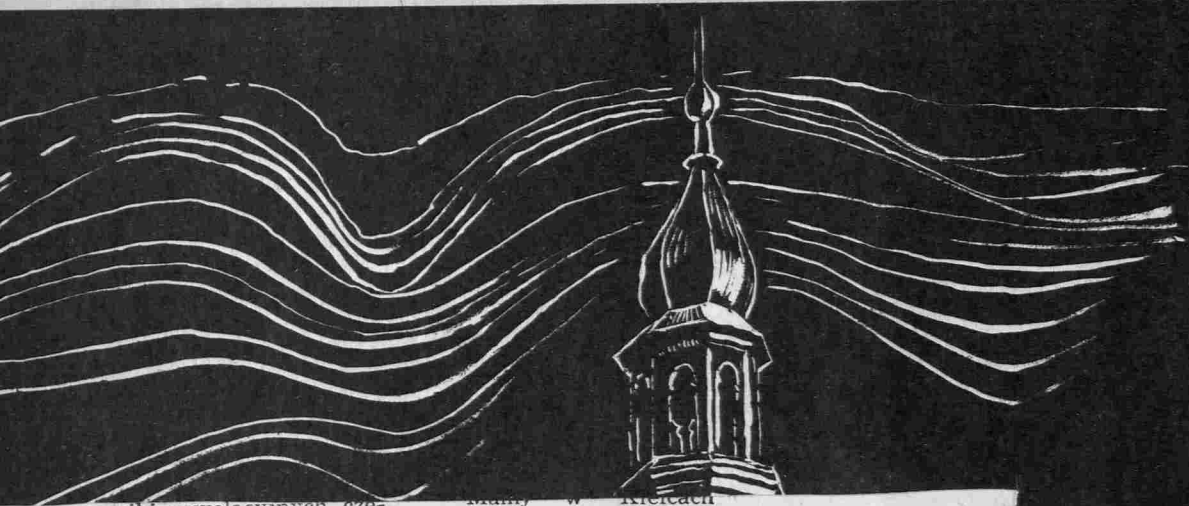

niki rewelacyjnych często prac wykopaliskowych prowadzonych w latach 1973—74.

Kilka referatów dotyczyło stanowisk z terenu naszego województwa np.: kopalni krzemionka w Tomaszowie Sow. Szydłowiec badanej przez doc. dra R. Schilda oraz wczesnośredniowiecznych zespołów osadniczych: w Sandomierzu, gdzie kierował wykopaliskami doc. dr S. Tabaczyński i Radomiu, gdzie prowadzi badania mgr E. Kierzkowska - Kalinowska. Przedstawiono również wyniki prac polskich ekspedycji wykopaliskowych we Francji, Bułgarii, Egipcie, Jugosławii oraz na terenie Węgier i Włoch.

Urozmaiceniem naukowych obrad było wystąpienie ucznia I Liceum — Wojciecha Pawelca, który demonstrował zebranym zagadkowe kamienne kule (przedmioty kultu?) odnalezione na bogatych archeologicznie terenach okolic Małogoszcza. (ward)

wzgórze Telegraf, na którym można nieźle pojeździć na nartach, lecz jest ono dość wysokie. Dużo czasu i wysiłku trzeba włożyć w wejście na sam szczyt. Marzy nam się urządzenie, przy pomocy którego można by szybko dostać się na górę.

WOSTiW — główny gestor inwestycji sportowych — podjął się w tym roku na Telegrafie wykonać jedyny na Kielecczyźnie wyciąg orczykowy. Po wielu staraniach wykonano dokumentację, znaleziono budowlanych wyspecjalizowanych w montowaniu tego typu urządzeń oraz wytwórców samej konstrukcji.

Roboty rozpoczęto w ubiegłym roku z myślą o ich zakończeniu przed bieżącym sezonem narciarskim. Sezon w pełni, a wyciągu nie ma. Gotowa jest już trasa wyciągu wraz ze stacją napędową, lecz pracy zostało jeszcze wiele. A może mile zaskoczą nas wykonawcy? Oby. hall

POZIOMO: 1) ogr nie, w którym psy s kają, 5) bociania r dia, 8) domena Aryn 9) Polki sąsiadka Bałtyk, 11) wędkarsk gnaturka, 14) mieszk nadodrzańskiej metr wojewódzkiej, 16) z storii znamy pospolite oszukiwanie obietni 19) liryczny utwór li ki wzorowany na pieś biblijnych, 21) imię kie niepopularne o statniej wojny świat 22) sukmana, 24) b której nasz kraj jest ducentem czołowym zażyłość, 27) przemys dzielnica i port Lon 29) rodzaj lirycznego sza albo krótka kom cja o śpiewnym ch terze, 30) ceremonia, grzechotka budząca chów, 32) widziana, z serwowana scenka.

przemiany

Miesięcznik społeczno-kulturalny. Ze rański, Władysław Grabka (sekre Irena Jarosz, Henryk Papierniak dan Pasternak, Stanisław Rams. czelny — tel. 503-72) Korekta: Hali

Adres redakcji: ul. Śniadeckich 2, 25-366 Kielce, tel. 503-72, 501-58.

Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch" Zamówienia i przedpłaty na **prenumeratę** przyjmowane są do 10 dnia miesiąca p prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu" w całym kraju (ne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddział Książka—Ruch" Urzędy pocztowe przyjmują prenumeratę w miejscowościach legatur RSW). Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21, półroczna — zł 42, roczn syłką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wyda Warszawa, ul. Wronia 23 konto PKO nr 1-6-100.024, telefon 20-46-88. Egzemp nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch" Kielce, ul. M. Buczka 11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch" w Kielcach. Nr i

SZYDŁÓW, miasto w pow. staszowskim, woj. kieleckim, osada książęca od XI w. Ludowa tradycja wywodzi nazwę m. od rozbójnika Szydły. Zachowane mury obronne i budowle. W r. 1830 zmarł w Sz. M. H. Juszczyński, poeta i bibliograf. W Sz. rozgrywa się epizod „Popiołów" (t. I roz. „Wiosna").

ŚWIĄTNIKI, wieś w pow. sandomierskim woj. kieleckim opisana przez J. K. Gregorowicza w zbeletryzowanej monografii „Wieś Świątniki". Zob. też Bilcza sand.

St. Mijas „Świętokrzyskie szlaki literackie" Łódź 1973.

ŚWIĘTA KATARZYNA, wieś w pow. kieleckim u podnóża Łysicy. Klasztor i kościół bernardynów, nast. franciszkanek. Pożar w 1534 r. zniszczył archiwum i bibliotekę. Historię miejscowości przedstawia S. Żeromski w „Puszczy Jodłowej" oraz „Snobizmie i postępie". Tu rozpoczyna się akcja „Popiołów".

TOKARNIA, wieś w pow. kieleckim w pobliżu Chęcin, miejsce ur. (1861) Kazimierza Laskowskiego – Ela, opisana w powieści „Surdutowiec" i w wielu wierszach.

Zob. St. Mijas „Świętokrzyskie szlaki literackie", Łódź 1972 rozdz. Rezydent kielecki.

UJAZD, wieś w pow. opatowskim woj. kieleckim, ruiny zamku Krzyżtopór zbud. przez Krzysztofa Ossolińskiego, wojewodę sandomierskiego w latach 1616–1644. W swej architekturze zamek przypominał strukturę roku, miał 4 baszty, 12 sal dużych, 52 pokoje i 365 okien.

WAŚNIÓW, wieś w pow. opatowskim woj. kieleckim, jedno z najstarszych osiedli w Górach Świętokrzyskich, od 1432 r. własność cystersów z Wąchocka. W sąsiednim Gaju ur. się W. Kochowski, który opiewał w swej twórczości uroki Waśniowa.

O. Kolberg „Radomskie" t. 2 w: Dzieła wszystkie t. 21; St. Mijas „Świętokrzyskie szlaki literackie" 1973

WĄCHOCK, miasto w pow. iłżeckim woj. kieleckim, opactwo cystersów fundowane przez bpa Gedeona. Przy opactwie działały dwie szkoły, teologiczna i świecka. Wykładał w nich Sz. Starowolski, zaś uczniem był późniejszy poeta J. N. Jaśkowski. Zachowany zespół klasztorny i kościół stanowią najoryginalniejszy zabytek romańskiej architektury sakralnej w Polsce.

K. Białoskórska „Wąchock. Opactwo cystersów". Warszawa 1960; J. Wiśniewski „Dekanat iłżecki" Radom 1909.

WIŚLICA, wieś w pow. buskim woj. kieleckim, wczesnośredniow. grodzisko, miejsce zjazdów szlachty małopolskiej, kilkakrotnie niszczone przez wojny. W poł. XIII w. powstała tu legenda o Helgundzie i Wisławie, w latach 1346–47 ogłoszono tu Statuty Wiślickie. T. Kościuszko utworzył w W. wraz z H. Kołłątajem i I. Potockim ministerium powstańcze. Zalążek muzeum.

O. Kolberg „Kieleckie" t. 1, „Radomskie" t. 1 w: Dzieła wszystkie t. 18 i 20.

ŻWOLEŃ, miasto powiatowe w woj. kieleckim, zał. w r. 1425, posiadało dwór królewski. W miejscowym kościele kaplica Kochanowskich z nagrobkami Piotra i Anny (wystawione rodzicom przez Jana), Piotra (synowca poety, tłumacza „Jerozolimy wyzwolonej") i Jana. Na rynku pomnik poety.

J. Wiśniewski „Dekanat kozienicki" Radom 1913; O. Kolberg „Radomskie" t. 2 w: Dzieła wszystkie t. 21; St. Mijas „Świętokrzyskie szlaki literackie" Łódź 1973.

CENA 7 zł